

MOJE WSPOMNIENIA - WOŁYŃ JADWIGA DĄBKOWSKA

WSTĘP

Jadwiga Dąbkowska (1920-2012) - moja Mama swoje wspomnienia zaczęła zapisywać mając 70 lat. Mówiła, że pisze dla siebie, żeby być blisko swoich zmarłych Rodziców, Rodzeństwa, Przyjaciół - świadków Jej dzieciństwa i młodości w Łucku. Świadków szczęśliwych przedwojennych lat i tych tragicznych - wojennych. Do śmierci żyła wspomnieniami.

Mama nie wierzyła, że to co pisze jest interesujące dla ludzi urodzonych po wojnie, nie znających realiów życia na Kresach. Mam nadzieję, że się myliła i Jej wołyńskie wspomnienia znajdą czytelników. Wszystkie fotografie zamieszczone we Wspomnieniach pochodzą z mojego rodzinnego archiwum.

Barbara Dębowska z Dąbkowskich, córka Jadwigi.

Rodzice moi w 1921 roku przybyli na Wołyń z Puław. Tatuś pochodził z Żychlina a mamusia z Lublina, To było cudowne, kochające się i bardzo szanujące małżeństwo. Ja byłam dzieckiem najmłodszym, tak zwaną pociechą na starość... Od brata przede mną urodzonego byłam młodsza o 15 lat. Następnie starszym bratem był Lucjan o półtora roku starszy od Henryka, Najstarsza zaś była siostra Helena znowu półtora roku starsza od Lucjana.



Fot. II - Łuck - 1928 - Jadzia Stańczyk



Fot. III - Łuck - 1930 - Jadzia z Rodzicami
Julią i Walentym Stańczykami

Swoje dzieciństwo wspominam jako nieustające pasmo dobroci i miłości otrzymane od rodziców. Jakie to wielkie szczęście mieć wspomnienia z dzieciństwa dobre, jasne, do których można wracać, gdy bardzo w życiu źle. Ale zarazem dochodzę do przykrego stwierdzenia, że nie potrafiłam swoim rodzicom dać tyle miłości, na ile zasługiwali... Oni się nigdy nie skarżyli, oni wszystko rozumieli, oni byli dla nas dzieci od samego początku aż do wieku dojrzałego podporą. Od początku swojego małżeństwa wytyczyli sobie cel, aby swoim dzieciom zapewnić właściwy start w życie, wykształcić, by nie musiały ciężko pracować fizycznie.

Tatusz był zdunem. Mamusia mając już troje dzieci postanowiła ukończyć szkołę dla położnych, aby móc pracować i pomagać w realizowaniu wspólnych zamierzeń. Tylko wielka miłość i ambicje dopomagały wytrwałości. Mimo ciężkiej pracy oboje wrażliwi byli na piękno przyrody i literaturę. Zupełnie odbiegali stylem życia od innych rodzin rzemieślniczych. W naszym domu nigdy nie pojawiała się wódka, ani nigdy nie byłam świadkiem żadnych awantur ani scysji. Rodzice mieli wielką kulturę osobistą,

A gdy już troje z nas zdobyło wyższe wykształcenie (a przecież przed wojną i szkoła i uniwersytet były płatne, płacić również trzeba było za akademik) moi rodzice postanowili wybudować dom.



Fot. I - Łuck - lata trzydzieste. Dom Rodzinny Stańczyków przy ulicy Lotniczej. Akwarela Lucjana Stańczyka

Siostra ukończyła polonistykę - pracowała w Warszawie, brat Lucjan ukończył SGGW - Wydział Leśny i jednocześnie studiował w Akademii Sztuk Pięknych (był bardzo uzdolniony). Brat Henryk wybrał Szkołę Oficerską. Ja najmłodsza w tym czasie byłam sama w domu, właściwie czułam się jak jedynaczka. Chodziłam do Gimnazjum Ogólnokształcącego im. T. Kościuszki w Łucku.



Fot. IV - Łuck 1929 r. - Klasa Jadzi Stańczyk

Nie mam po prostu słów, aby wypowiedzieć jak cudownie żyło się w naszej "budzie". Profesorowie kochani nie wzbudzali w nas strachu, byli naszymi przyjaciółmi. Zresztą mieli bardzo wysokie kwalifikacje, gdyż specjalnie dbano, aby na Kresach szkoły były na najlepszym poziomie. Wielu z nich miało tytuły doktorskie.

Życie koleżeńskie było fantastyczne, Do naszego gimnazjum uczęszczali Polacy, Ukraińcy, Czesi, Żydzi, Rosjanie. Było nam ze sobą. dobrze - żadnych różnic nie robiliśmy. Tak mogło być tylko na Kresach. Szczęśliwe, niezapomniane czasy...

Teraz bardzo wysoko oceniam nasze życie kulturalne. Obowiązkowe były koncerty i przedstawienia teatralne. Profesor Józef Lasocki prowadzący śpiew i muzykę założył prócz chóru, orkiestrę. Przy współudziale muzyków ze Średniej Szkoły Muzycznej (założonej również przez naszego profesora) wystawialiśmy w Teatrze Miejskim dla publiczności Sonety Krymskie, Dziady Mickiewicza oraz Halkę według muzyki Moniuszki.

Niezapomniane były zabawy szkolne, prywatki urządzone w tak zwanych paczkach, obozy harcerskie, ćwiczenia P. W. K., wycieczki do Warszawy - Lwowa - Wilna, i w okolice Łucka, Pan profesor Stanisław Hertel - polonista, potrafił stworzyć z grona nauczycielskiego teatr amatorski i też wystawiać sztuki np. Powrót posła, Rajski ptak i inne. To był majstersztyk jego umiejętności reżyserskich. Dobrze mi było w tej szkole - tyle przyjaźni no i pierwsza sztubacka miłość.



Fot. V - Łuck - 1935 - Uczniowie kl. 1a Gimnazjum im. T. Kościuszki w Łucku z Dyrktorem Szkoły i Rodzicami

Na wakacje wyjeżdżałam na Polesie do Krasnowoli. Zakochałam się bez reszty w przyrodzie tamtych stron. Jeździłam z koleżanką Wandą Zyssówną przez kilka lat do poznanych tam ludzi. Odwiedziłam kiedyś wujka policjanta zatrudnionego w Krasnowoli. Porobiłam cudowne znajomości wśród chłopów ukraińskich i Polaków nielicznie tam zamieszkujących. Razem z Wandą zbierałyśmy pieśni ukraińskie - Wanda nawet starała się pisać nuty do nich. Ja znowu pasjonowałam się haftami i strojem regionalnym. Robiłyśmy szkice chatynek. Byłyśmy zapraszane na wesela do chłopów, nie omijałyśmy żadnej okazji bycia na odpustach, jarmarkach tak polskich jak i ukraińskich. Wędrowałyśmy pieszo po różnych chaszcach i bagnach. Nikt nam nic złego nie zrobił - nie do pomyślenia byłyby teraz takie samotne wędrowki.

Ciekawiła nas „inność” ludu ukraińskiego. Współczułyśmy tym prostym ludziom, czasem bardzo biednym. Oni to czuli i wywiązywała się nić przyjaźni.

Pamiętam taką rodziną Fiediów, była tam córka w naszym wieku. Tak długo molestowałyśmy jej matkę, aż wreszcie puściła Nastię do Łucka, Pojechała razem z nami, gdy wracałyśmy z wakacji. Po tygodniu odprowadziłyśmy ją na statek rzeczny kursujący na Styrze aż do Prypeci - do Pińska. Ona jechała tylko za Kolki do Białobrzegów.



Fot. VI - 1937 - Wycieczka na Targi Równieńskie - uczniowie kl. IIIb
Gimnazjum im. T. Kościuszki w Łucku

Pokazywałyśmy tej dziewczynie miasto, dziewczynie, która nigdy nie widziała auta, elektryczności, kina, wielkiej katedry albo soboru. To było dla niej wielkie przeżycie, a dla naszych koleżanek była to sensacja, bo Nastia była ubrana w swój strój ludowy.



Fot. X - Łuck - 1936 r. - Jadzia w
ludowym stroju - powrót z wakacji na
Polesiu



Fot. IX - Łuck - 1927 r.

Lucjan Stańczyk

młodszy brat Jadwigi

W Zalesiu wiodłyśmy żywot zupełnie jak z książki Rodziewiczówny „Lato leśnych ludzi”. Po przeprowadzce wujostwa do Kołek, następne wakacje spędzałyśmy w takim typowym, zaniedbanym nieco zaścianku Kraśnickich. Piękne wspomnienia mam z tych czasów i mogłabym pisać o nich w nieskończoność, ale komu to jest potrzebne, kto wyczuje ten specyficzny klimat tamtych lat, tamtej przyrody, tamtych ludzi... Niestety będę to musiała zabrać tam na drugi brzeg.

Przedstawiłam taki bardzo skrócony zarys swojego szczęśliwego życia, aby na jego tle uwidocznił się cały ogrom nieszczęścia, klęski, tragedii jakim była wojna.

Życie mojej rodziny dramatycznie zostało zdruzgotane... Nie staram się teraz z odległości przeżytych lat czegokolwiek z tamtych przeżyć przedstawić oczyma doświadczonej, starszej osoby... Nawet pomijam daty wydarzeń zaznaczając jedynie okres, lata, czasem miesiące. Nie mogę być historykiem, bo nie mam do tego odpowiedniego wykształcenia. Mogę jedynie rejestrować wrażenia i odczucia.



Fot. XI - Łuck 1938 r.
Jadwiga Stańczyk



Fot. XII - Łuck 1938 - Nad Styrem - siostry Helena i Jadwiga
Stańczykówny

W sierpniu 1939 roku powołany został do wojska mój ukochany brat Lucek. Lucek mieszkał razem z nami, pracował w Dyrekcji Lasów Państwowych jako inżynier urządzeniowiec.

W jego artystycznej naturze nie było miejsca na przemoc. Po zajęciach chodził w plener ze sztalugami, miał wiele bardzo ciekawych znajomości - wzbogacałam swoje wnętrze w dyskusjach tak różnych, zaczynając od sposobu kładzenia farby na płótno, a kończąc na filozofii hinduskiej. On był moim „guru”. Potrafiliśmy czasem przegadać całą noc - rozumieliśmy się doskonale. Byliśmy sobie pokrewnymi duszami, a różnica wieku siedemnastu lat w ogóle nie miała znaczenia. To jemu zawdzięczam umiejętność nie przywiązywania uwagi do rzeczy błahych, nieistotnych dla życia wewnętrznego... I jego wojna zabrała najwcześniej i na zawsze - nieznanym zupełnie jest jego wojenny los. Był w Pułku Artylerii Ciężkiej w Równem, Pułk podobno został rozgromiony, wielu nieżyjących nie dało się zidentyfikować. W dokumentach figuruje jako zaginiony. A więc nieznanym żołnierz, bez mogiły, Mam takie przeświadczenie, że gdyby wszystkie dokumenty zbrodni katyńskiej i innych były ujawnione to tam znalazłabym jego nazwisko - Lucjan Stańczyk, syn Walentego i Julii.



Fot. XIII -Łuck - Legitymacja służbowa Lucjana

Po rozgromieniu naszych wojsk odbywały się wędrówki ze wschodu na zachód i z zachodu na wschód. W końcu września jakiś żołnierz idący do swoich zaszedł do nas, aby nas powiadomić, że Lucek żyje i dąży do nas, ale ta grupa nie ma żadnych środków lokomocji i idą wyczerpani, wyniszczeni, narażeni ze wszystkich stron. Temu żołnierzowi udało się podjechać na jakąś odległość i właśnie teraz dotarł do nas, aby spełnić przysięgę daną memu bratu. Miał przyjść z zachodu, ale ja zawsze wiedziona jakimś przeczuciem wychodziłam na rogatki szosy w stronę Równego, a więc na wschód. Mijali mnie cywile - uciekinierzy ze stron naszej zachodniej Polski, teraz usiłujący powrócić do siebie, mijali mnie żołnierze w strzępach mundurów powracający do swych domów tu na Wołyniu. Lecz niepokojące były grupy jeńców - nie jeńców pędzonych przez ruskich "bojców". Ci byli w najgorszym stanie; bez czapek, bez guzików przy mundurach, zarośnięci, poszarpani, ranni - z bandażami chyba od założenia nie zmienianymi. To byli prawdopodobnie wypędzeni ze szpitali wojskowych. Niosłam ze sobą na takie wyprawy w torbie owoce albo placki, starałam się choć kilku biedakom wręczyć tę odrobinę żywności. Czasem udawało się, ale ruscy strażnicy odpędzali grożąc kolbami. Aby się nie narażać po prostu wysypywałam na szosę ten prowiant - zawsze ktoś zdołał podnieść. Wpatrywałam brata. W ciągu kilku godzin oczekiwania mąciło mi się w głowie. Po kilku dniach ustały takie masowe wędrówki, ale zaczęłam chodzić z innymi koleżankami na dworzec kolejowy, Robiliśmy zbiórki sucharów wśród znajomych i każda z torebkami szła w nadziei, że dopomoże.

Na stację przypędzili, dosłownie przypędzili olbrzymią grupę wojskowych. Na perony zabroniony był wstęp cywilom. Ładowano tam do bydłocych wagonów naszych obrońców, a według Stalina najgorszych wrogów narodu - polskich oficerów. Było ich tak wielu, że ci, którzy nie mogli się zmieścić na peronie czekali na ziemi przed stacją. Dostępu do nich broniła milicja - przeważnie składająca się z biedoty żydowskiej - teraz wyległej po władzę. Bardzo lżyli naszych oficerów i wymachiwali nahajkami. Fu, jakie to było wstrętne. Jeden taki ważniak z fasonem jechał na koniu, poznałam go. Był to ojciec mojej koleżanki z gimnazjum - nazywał się Kopyt. Jego właśnie poprosiłam, aby mi pozwolił dać biedakom żywność. Okazał się łaskawcą - poznał mnie. A ja poznałam w grupie siedzących w łachmanach, bez butów (kradziono im) z obwiązanyimi nogami, pana majora Wojtycha, też mieszkającego na Kolonii Oficerskiej, ojca mojej koleżanki. Podeszłam do niego i spytałam, czy mogę mu w czymś pomóc - pobiegnę do jego rodziny, zawiadomię, przyniosę więcej jedzenia, może rodzinie uda się przekupić strażników...

- Nie, moja mała, moja rodzina wywakuowała się na wieś przed bombardowaniem. Zaraz nas wywiozą. Nie ma ratunku. Wszystko przypadło. A na myśl mi przyszło wspomnienie zabawy noworocznej w Gimnazjum, podczas której, z panem Wojtychem tańczyłam poloneza (był w Komitecie Rodzicielskim).

W roku 1939 nie wyjechałam już na swoje Polesie. Coraz bardziej niespokojnie, coraz bardziej niepewnie. Brat Lucjan jeszcze pracował w Dyrekcji Lasów. To był chyba maj, a więc krótko przed końcem roku szkolnego. Przysłano do nas młodego germanistę. Właściwie mieliśmy trzech profesorów języka niemieckiego i do tego czasu to wystarczało. Niestety nasza klasa miała z nim lekcje. Do sali wprowadził go pan dyrektor Jan Laskowski, powiedział kilka słów i zostaliśmy z nim sam na sam. Nowy profesor zaczął lekcję od rozdzielenia chłopców od dziewczynek. W pierwszych ławkach kazał usiąść chłopcom, a dziewczynkom (było nas siedem) przejść do ostatnich rzędów. Strasznie nas to dziwiło. Podręczniki, zeszyty na ławkach - zaczęła się lekcja. Profesor zwracał się z pytaniami tylko do chłopców. Na podnoszenie rąk przez dziewczęta celem wzięcia udziału w dyskusji - nie reagował. Zaczęłyśmy komentować półgłosem jego zachowanie. Patrzył na nas drwiąco i w sposób, którego nawet nie umiałyśmy wytłumaczyć. Lekcja miała się ku końcowi. I teraz pan profesor zapowiedział: „Od jutra dziewczęta przynoszą ze sobą jakieś robótki ręczne, aby nie tracić czasu i będą mogły przysłuchiwać się lekcji. Będzie to zgodne z zasadą „3-K”. Nie rozumieliśmy nic z tego. Więc pan profesor wyjaśnił, że w Niemczech kobiety znają swoje miejsce i nie zabierają miejsc pracy mężczyznom, a 3 K znaczy: Kuche, Kinder, Kirche - Kuchnia, Dzieci, Kościół. Poczuliśmy się nagle dyskryminowane. To było nie do wytrzymania. Wzburzenie w nas rosło a on z drwiącym uśmieszkiem napomina, o robótkach.

Wszystkie dziewczęta na przerwie zdecydowały udać się do naszego dyrektora. Powiedziałyśmy wręcz, że na lekcje niemieckiego prowadzone w takim stylu nie będziemy przychodzić - robótki ręczne w tym czasie możemy robić w świetlicy. Dyrektor był bardzo zdenerwowany. Po namyśle poprosił nas, abyśmy nie wszczynały żadnej polemiki z profesorem Koschem, mamy przez kilka dni przychodzić na lekcje a później on dyrektor sprawą załatwi. Na następną lekcję Herr Kosch ubrany tyrolską modą w spodnie, tak zwane pumpy i skarpetki do kolan, wszedł do klasy z dość grubą książką pod pachą. Widząc, że dziewczęta posłusznie zasiadły w kącie bardzo to pochwalił i zaczął, zwracając się do chłopców, mówić, że oto dane nam jest zaznajomić się z największym dziełem III- Rzeszy, po prostu z biblią narodu niemieckiego, z napisaną przez wielkiego człowieka Książką „Mein Kampf”. To była jawna bezczelność. Ale i my nie byliśmy naiwni - pominęliśmy to milczeniem. Nikt nie okazał zainteresowania, nie było pytań, była cisza. Znowu odwiedziliśmy „dyrda”. Zapewnił, że pan Kosch będzie odwołany. Po tygodniu dowiedzieliśmy się, że pan Kosch został aresztowany - udowodniono mu szpiegostwo.

W mieście już od roku powstawały nowe sklepy z odzieżą przemysłową. Nowymi właścicielami byli ludzie z zachodnich rejonów Polski - i dziwnym trafem o nazwiskach niemieckich. Ożywił się ruch niemieckich kolonistów - były w pobliżu wioski niemieckie. Zaczęli być "widoczni". W kościele ich kirsze - pastor wygłaszał bardzo prowokacyjne kazania. On również był podejrzany o szpiegostwo. Nawet nasz gimnazjalny woźny nazywany Podrygula, który pracował od lat, też był szpiegiem. Coraz niespokojniej. Wszyscy zadawali pytanie, czy dojdzie do wojny?

Harcerstwo i Przysposobienie Wojskowe na terenie szkoły coraz więcej miało zajęć związanych z obroną kraju. Na wioskach wykrywano tajne stacje nadawcze. Niepokój wzrastał. Zakończenie roku szkolnego nie było uroczyste - było smutne. Robiono sztuczne alarmy przeciwlotnicze, ludność cywilną podzielono na okręgi, powoływano służby przeciwlotnicze, sanitarne, itp. Że wojna będzie na pewno uwierzyliśmy dopiero, gdy zmobilizowali brata Łucka, Odprowadzałam go na pociąg wraz z jego narzeczoną. Nie wiedziałam, że go nigdy już nie zobaczę...

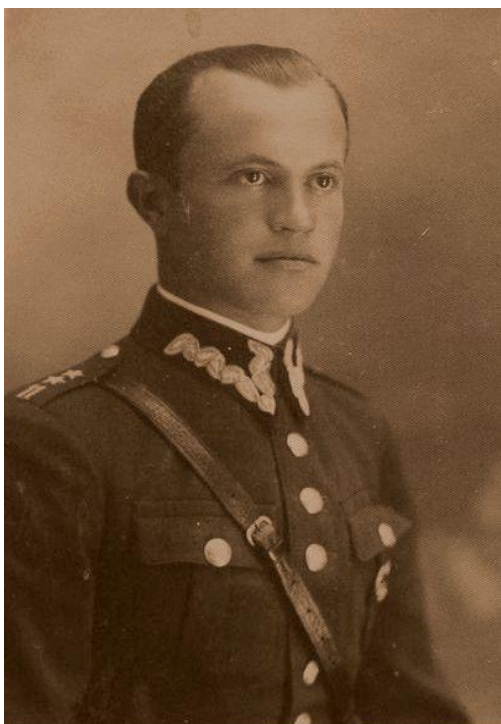
Miesiąc przed wybuchem wojny przyjechała do nas siostra Helena z Warszawy, no i już pozostała. Nie miała, po co wracać. Przydzielono ją do służby przeciwpożarowej. Ja miałam być do dyspozycji instruktorki PWK- naszej profesorki wychowania fizycznego. Naszym zadaniem miała być służba łączności.

Gimnazjum przemeblowano, to znaczy zamiast ławek przywieziono łóżka. Część gmachu zajęli lotnicy, część przystosowano na szpital. Na naszej Kolonii Oficerskiej, na której mieszkałam, było nowe Gimnazjum Krawieckie, w którym również urządzono szpital. W naszych domach zakwaterowano służby medyczne. Musieliśmy oddać jeden pokój dla czterech lekarzy. No i zaczęła się wojna.

Kopaliśmy rowy przeciwlotnicze. Pierwsze bomby na Łuck zrzucono dopiero 3 września. Przybywało coraz więcej uciekinierów z terenów zajmowanych przez Niemców. Miałam dyżury na stacji kolejowej, gotowałyśmy kawę, kroiliśmy chleb dla uciekinierów z przeladowanych pociągów, kierowałyśmy ludzi przerażonych, zrozpaczonych, zagubionych do kwater na mieście i na wsiach. Ludzie, którzy zdołali uciec, przejść straszliwe ostrzeliwanie transportów, kierowani przez nas na ciche wioski czasem właśnie tam znaleźli swą śmierć z rąk Ukraińców.

Na lotnisko, przy którym zamieszkiwaliśmy wieczorem przyleciały 22 samoloty myśliwskie. Myśleliśmy, że one zdołają, obronić nasze miasto przed nalotami. Rano o godz. 5 straszliwy nalot zrył bombami nasze lotnisko. Płonął Hangar, bunkry z paliwem i kilka bloków koszar. Mamusia była spokojna. Nic nie mówiła, trwała w skupieniu. Jej spokój dawał wiarę, że jednak przeżyjemy. Wszystkim ręce opadały, a ona zawsze pamiętała, że trzeba wszystkich, swoich i nie swoich, nakarmić.

Zbliżał się 17 wrzesień. (Historię z rodziną Disterhoffów opisałam w innej części moich wspomnień). Czerwona Armia wkroczyła do miasta. Nasi lekarze przebrani w cywilne ubrania opuścili nasz dom. Przybyła natomiast bratowa uciekająca piechotą z Włodzimierza.



Fot. VII - 1935 - Henryk Stańczyk we Włodzimierskim Pułku Ułanów



Fot. VIII - 1935 - Henryk Stańczyk (niższy z kolegą) kapitan we Włodzimierskim Pułku Ułanów walczył pod Bydgoszczą - w niewoli niemieckiej w oflagu IIC WOLDENBERG doczekał końca wojny.

Drugi mój brat był kapitanem we włodziemskim pułku. W walce gdzieś koło Bydgoszczy dostał się do niewoli niemieckiej, był w oflagu. Po pewnym czasie dostaliśmy od niego kartę. Uzgodniliśmy, że Kazia (tak było na imię bratowej) nie będzie przyznawała się, że jest mężatką i będzie występować pod panińskim nazwiskiem. Była nauczycielką i zaledwie 7 miesięcy minęło od ślubu.

A więc są już Sowietci. W naszej dzielnicy jeszcze nie było ich widać. Słyszeliśmy od znajomych, że ludność żydowska i ukraińska bardzo radośnie ich witała. Polacy odetchnęli, że skończyły się bombardowania, lecz ze strachem myśleli o przyszłości. Tatuś z Kazią poszli na ulicę zobaczyć tych „bohaterów”. U mnie i mamusi przeważała nad ciekawością nienawiść do nowego okupanta. Powiedziałyśmy, że chętniej zobaczymy ucieczkę "armiejców". Niestety. Zaczęły się aresztowania, Władze NKWD doskonale były przygotowane na takie akcje. Miały rozpracowane materiały dotyczące Polaków na każdym stanowisku i oczywiście posługiwali się usłużnymi donosicielami różnej maści. Przepadali ludzie zabierani nocą. Pod więzieniem w długich kolejkach oczekiwały rodziny chcąc uzyskać jakąkolwiek wiadomość albo, gdy już pewni byli - starać się o dostarczenie paczek dla więźniów. Jak wszy rozchodziły się grupy NKWD-zistów po mieszkaniach i niby w przyjaznej pogawędce sondowali z ilu osób składa się rodzina, co z nieobecnymi członkami, jak żyją sąsiedzi, czym się zajmują. Interesowało ich wszystko. Po kilku dniach dostawało się wezwanie na NKWD i albo czasowo zostawiano taką rodzinę, albo namawiano do współpracy, albo aresztowano.

W tym pierwszym okresie wśród młodzieży zawiązywały się grupy konspiracyjne, niestety wielu chłopców zostało aresztowanych bądź też wcielonych do Armii Czerwonej - bez względu na obywatelstwo i narodowość polską.

Po miesiącu przekazano nasze Gimnazjum nowym władzom szkolnym. Mieściła się Tam teraz Szkoła Pedagogiczna oraz 10-cio latka. Wszystkie szkoły miały nauczać w języku rosyjskim. Dla Polaków stworzono wieczorową szkołę - wydzielono kilka sal. Bałagan był niesamowity; brud i zimno, Nie został nikt z naszych pedagogów. Nowe władze szkolne ustaliły, że ponieważ w Polsce nauka była na dużo niższym poziomie niż w Sojuszu, więc wszystkie klasy cofnięto o rok. Dyskryminacja.

W sklepach nie było żadnych towarów poza chlebem, solą. Od czasu do czasu „rzucali” cukier albo okropne farbowane cukierki z mąką kartoflaną. Po te rzeczy ustawiała się niesamowicie długa kolejka. W rezultacie panowało prawo pięści, bo gdy dochodziło się już do drzwi sklepu, zjawiali się mężczyźni o wyglądzie oprychów i wyrzucali najbliższych kilka osób zajmując ich miejsce. Przez cały okres tej okupacji sowieckiej ani razu nic udało się nam zdobyć cukru. Na „czarnym rynku” kupowaliśmy sacharynę.

Musieliśmy oddać dwa pokoje do dyspozycji „wojennych”, W jednym mieszkały sanitariuszki, w drugim sierżant. Od razu po ich wprowadzeniu się cały dom (korzystali z naszej kuchni) "prześmierdł Sojuzem". Był to odór, bo nie można było tej mieszaniny nazwać zapachem. A składało się nań zapach pasty do butów, mydła toaletowego o silnym, kwaśnym zapachu, który nawet nie przemijał po kilku dniach, i tak zwanych „duchów”, czyli perfum. Do tego jeszcze zapach smażonej cebuli na zielonym, rzepakowym oleju. Ten zapach był ich wizytówką.

Dom nasz otoczony był pięknym młodym sadem i warzywnikiem. Z chwilą przybycia nowych lokatorów trudno było cokolwiek zebrać - wszystko było ich. Kazali nawet rozbierać płoty i ogrodzenia pomiędzy sąsiedzkimi działkami nauczając, że ziemia nie jest niczyją własnością osobistą, że każdy obywatel musi się z tym pogodzić. To jest komuna. Żal ściszał serca rodziców, którzy z takim pietyzmem sadzili doskonałe odmiany czereśni, wiśni, jablek

i gruszek. Nie szanowano niczego. Na parkietach rąbano trzaski do pieca. Cóż, uczyli nas swojej kultury... Że z biednego kraju przybyli widać było po ich ubraniach. Cieszyli się, gdy w ich - dostępnych tylko dla wojskowych - sklepach mogli dostać masło, krowie masło. Nie smarowali tym chleba, ale wrzucali po łyżeczce do "kipiak" solili i pili jak najlepszy bulion. Żałowaliśmy ich jako ludzi, ale oni nas nie żalowali: „Wyście się już nażyli, teraz my będziemy żyć”.

Od pewnego czasu codziennie przed południem zaczęli nas odwiedzać nieproszeni goście, było ich czterech w randze majorów oficerowie NKWD. Z wyszukaną, uprzejmością pytali o braci. Jeszcze nie mieliśmy zawiadomienia o Henryku, że dostał się do niewoli, o Łucku w ogóle nic było wieści. Ciągłe kluczyli w pytaniach; co każdy z nas robił, gdzie mieszka. Było to bardzo denerwujące, nic wiedzieliśmy, do czego dążą. Wreszcie zaczęli ganić tatusia, że on, jako „czarnoraboczy”- utrzymujący się z pracy rąk, wykształcił jednego syna na oficera Siedzieli tak naprzeciw nas i ciągle to samo powtarzali, Widziałam jak tatuś silił się na spokój, jak na czole mamusi występowały krople potu. Stałam za krzesłami rodziców. Właśnie tłumaczyli, że syn oficer to jest wróg narodu, (jakiego?), że przez takich tylu ludzi musi cierpieć nędzę. Nie wytrzymałam i zapytałam; „ Czy wy też jesteście wrogami narodu? Przecież jesteście oficerem i to w wysokiej randze?”. Zdumiali się na moją "bezczelność”.

- Tak. ale my jesteśmy oficerami Armii Czerwonej. I znowu palnęłam: „To znaczy, że gdy rodzice kształcili brata powinni byli pytać Stalina o pozwolenie? Przecież mieliśmy swoje państwo jak i wy, i w naszym państwie też musiała być armia i oficerowie”. Jeden z nich nie wytrzymał i po rusku zaklął - ty taka owaka, jakbyś ty była starsza, my byśmy ciebie nauczyli... Ot i skończyła się przyjazna rozmowa. Na dyskretny ruch ręki mamusi wyszłam z pokoju. Gdyby on sprawdził moją datę urodzenia, na pewno pociągnąłby mnie do odpowiedzialności. Za co? Za prawdę...

Wreszcie otrzymaliśmy oficjalną kartę pocztową z Niemiec, z oflagu XA. Kartę tę na pewno długo kontrolowało NKWD. Następne „biesiedy” - jak oni to nazywali - odbyły się po kilku dniach od otrzymania wiadomości od Henryka. Tym razem główny nacisk kładli na to, czy naprawdę nic nie wiemy o Lucjanie. Wreszcie zakończyli przepytywanie i odchodząc powiedzieli, że my możemy nie wiedzieć, ale oni na pewno się dowiedzą. Powiało grozą.

Na początku roku 1940 zaczęły się masowe wywózki w głąb Rosji. Podjeżdżali pod dom nocą i bez dania czasu na zabranie choćby najbardziej potrzebnego bagażu, gnali na wozy, ciężarówki. Jak bydło spędzali do wagonów towarowych przy bardzo, tej zimy, ostrym mrozie. Winą było być Polakiem. Dlaczego zawsze powtarza się polska gehenna?

W tym czasie wywieziono całe rodziny wojskowych, policjantów, leśników, księży, wyższych urzędników państwowych a przede wszystkim właścicieli dworów, w majątków, W tym okresie wywieziono moją ciocię której mąż był policjantem w Kołkach. Wywieziono całą rodzinę Kraśnickich za to tylko, że byli Polakami i potrafili prowadzić lepiej swoją gospodarke, a to było zawiścią okolicznych chłopów.

Wywieziono moją najukochańszą przyjaciółkę Halę Baczyńską wraz z siostrą Wandą. Z Łucka państwo Baczyńscy wyjechali do Krakowa. W 1937 roku ojciec Stanisław Baczyński był dyrektorem Banku Polskiego. Bogaci, kulturalni, córki swoje wychowywali bardzo skromnie. Dziewczyny były bardzo uzdolnione i plastycznie i muzycznie. W 1939 we dwie w czasie wakacji podjęły wędrówkę turystyczną od Krakowa do Delatyna. Wojna zastała je w Delatynie, a więc na ziemiach zajętych przez Sowiec. Zgłosiły się na tak zwaną komisję, która rejestrowała Polaków z zachodnich części Polski, a których los wojenny zapędził na Kresy Wschodnie. Miano im zorganizować powrót. Owszem, zorganizowali pociągi z bydłecymi wagonami i powieźli..., ale na wschód, na Syberię. Hala z Wanda miały

tylko ekwipunek letniego ubrania. Powieźli je do Nowosybirsk, w 60 stopniowy mróz. Zatrudnili, przy wydostawaniu, bo nie można tego nazwać wykopkami, buraków pastewnych z zamarzniętej do głębi ziemi.

Otrzymałam listy, zorganizowałam wśród dawnych znajomych i koleżanek zbiórkę. Skromne to były paczki - makaron na ciężko zdobytych jajkach, kasza, wędzona słonina. Taką paczkę można było wystać tylko raz w miesiącu. Wysyłałyśmy częściej na nazwiska coraz to inne. Hala kiedyś napisała (listy szły bardzo długo), ażeby już nic nie wysyłać bo paczki są plądrowane, a na miejsce skradzionych rzeczy ładowane są kamienie. Ich malarskie zdolności pozwoliły na polepszenie warunków, Zatrudnione zostały przy malowaniu olbrzymich rozmiarów portretów Stalina i innych członków władzy. Po zakończeniu wojny dowiedziałam się od rodziców mojej przyjaciółki, oczekujących w Krakowie, że udało im się przeżyć zsyłkę i wraz z Armią Andersa były w Iraku. Wanda dostała się przez Włochy do Anglii, gdzie chciała sprowadzić swoich starych rodziców, a moja Hala niestety zginęła tragicznie i jest pochowana w Kirkuku w Iraku.

Linie kolejowe zajęte były pociągami zsyłkowymi. W Łucku zaczęto wydawać paszporty, które umożliwiały zameldowanie w mieście i podjęcie ewentualnej pracy. Nam paszportów nie wydano - zaliczono nas do grupy, którą w następnej kolejności należy wywieść na Sybir. Mieliśmy opuścić miasto w przeciągu dwóch tygodni. Gdzie mieliśmy się udać, przecież nikogo bliskiego nie mieliśmy w pobliżu Łucka?

Siostra z bratową były zarejestrowane w Inspektoracie Oświaty jako nauczycielki. Na tej podstawie przydzielono im prowadzenie szkoły w odległej o 25 km wsi Iwańczyce Stare. Z domu nie mogliśmy zabrać żadnych mebli, prócz łóżek (trzech). Straszną zbrodnią wobec wielkiego Związku Radzieckiego okazało się posiadanie w rodzinie dwóch synów oficerów. Myślę, że chcieli jak najszybciej wywłaszczyć nas z domu. W Inspektoracie Oświaty zapewniono furmanki do naszej przeprowadzki. Pożegnałyśmy się z ukochanym domem. Pomimo tak ciężkiego doświadczenia Mamusia była z nas najdzielniejsza.

W Iwańczycach szkoła mieściła się w obszernej chałupie. Po jednej stronie była wielka izba przeznaczona na klasę, a po drugiej stronie oddzielona sienią, była druga izba i mała kuchenka, to miało być nasze mieszkanie. Zamieszkaliśmy: stara 80-letnia babcia, Mamusia, Tatuś, siostra, bratowa i ja. Tatuś zrobił dwie prycze, sienniki ze słomy i jakoś się żyło. Okolica była piękna, wieś chutorowa. Naprzeciw szkoły cerkiew drewniana, a budynek stał na rozdrożu. W jednym kierunku przez groblę jechało się do Łucka, w drugim kierunku do Torczyna, w trzecim na Kowel.

Siostra i bratowa uczyły w jednej sali cztery oddziały. Warunki gorzej niż prymitywne. Dzieciaki były sympatyczne i bardzo przychylnie nastawione do nowych nauczycielek. Mamusia z babcią gotowały, ale po pewnym czasie, gdy już zostały nawiązane znajomości ze wsią, Mamusia coraz więcej czasu poświęcała szyciu dla kobiet. One rewanżowały się żywnością. W mieście Tatuś był głównym zaopatrzeniowcem z racji swojej pracy. Tu na wsi Mamusia konkretnie zarabiała. Siostra z bratową pracowały, ale tylko za karbowanie - takie pieniądze które nie miały wartości poza możliwością kupienia za nie nafty, soli, czasem farbowanych cukierków. Ja pomagałam w prowadzeniu kuchni, a poza tym byłam wolna. Z tej wolności korzystałam na swój sposób. A więc poznawałam przyrodę, ludzi i zwyczaje tego środowiska. Młodzież tej wioski była mało zainteresowana mną. Nie miałam kłopotów z nawiązywaniem znajomości, przecież spędzając każdego roku wakacje na tych wsiach, z przeważającą ilością ludności ukraińskiej, znałam ich język, znałam dość dużo piosenek, znałam również wiersze Szewczenki (to już z Gimnazjum, w którym miałyśmy dwie godziny tygodniowo lekcji języka ukraińskiego). Chodziłam z nimi do cerkwi dla piękna ich pieśni, chodziłam do domów na darcie pierza. To był cały rytuał. Darto pierze wieczorami jesienią

zbierając się kolejno w domach, gdzie były młode dziewczyny. Każda przed sobą, miała całą górę pierza na wspólnym stole i darła je na drobne kawałeczki, rzucając do swoich koszy. Rozmawiało się, mówiono różne dowcipy. Ale najważniejszym momentem w tej ceremonii było przyjście chłopaków. Oni oczywiście nie do roboty przyszli, lecz dla zabawy, dla towarzyskiego spędzenia czasu. Teraz to już było gwarno i wesoło. Starzy tj. rodzice dziewczyny u której się zbierano, wychodzili po jakimś czasie do drugiej izby.

Szli spać, bo darcie przeciągało się do późna, a młodzież zartowała i śpiewała ściszym głosem, ściszym nie dlatego, aby nikogo nie budzić, lecz aby przy gromkim śpiewie pierze nie fruwało dookoła.

Tęskniąc za koleżankami i znajomymi często jeździłam do Łucka, korzystając z okazji, gdy ktoś ze wsi jechał do miasta. Chciałam chociaż popatrzeć na nasz dom. Nocowałam u sąsiadów.

Naręczona mojego brata Łucka wraz ze swoją przyjaciółką (przed wojną była dyrektorką Gimnazjum Krawieckiego), zaczęły pracować w Spółdzielni artystów plastyków, Ponieważ wiedziały, że również miałam te zdolności, zawiadomiły mnie, że są organizowane kursy dla artystów samouków. Kurs był organizowany przez plastyczną uczelnię z Kijowa. Miało to być wyłanianie talentów. Zgłosiłam się więc, zostałam przyjęta. W ramach kursu zapewniano zakwaterowanie z wyżywieniem. Z wyżywienia korzystałam, dostawaliśmy talony do jakiejś jadalni. Spałam zaś u znajomych. Nauczycielem był Iwan Dartisenko, plastyk z Kijowa. Bardzo kulturalny i szalenie przystojny pan, jakże inny od tych NKWD-zistów. Ze zdziwieniem spostrzegłam, że wśród znieawidzonych zaborców są ludzie delikatni i wrażliwi. Bardzo miłe wspominałam zajęcia; rysowanie modelu, portret i scenę na jakiś temat olejny.

Denisenko był zdziwiony moimi umiejętnościami, (choć nie uczyłam się w Gimnazjum rysunku, a uczęszczałam na śpiew i muzykę.), ale po prostu miałam zdolności rodzinne. Potem była wystawa, i ci najlepsi byli dopuszczeni do studiowania zaocznie w Akademii w Kijowie. Konkurencji wielkiej nie miałam, bo uczestnikami kursu byli właściwie ludzie bez talentu, raczej tacy, którym najlepiej wychodziły szyldy. A więc stałam się studentem Akademii Sztuk Pięknych. Kurs się skończył. Raz na miesiąc przysyłano mi z Kijowa temat do rysowania, następnie odsyłałam swoją pracę do oceny itp. Ten okres zaliczam do przyjemnych w tym nieprzyjemnym czasie.

Kiedyś pojechałam do Łucka. Miałam zostać tam kilka dni, ale moja sąsiadka odmówiła mi przenocowania. Po prostu wyszło zarządzenie, że na terenie miasta nie wolno przebywać nocą ludziom niezameldowanym, bez paszportu. Jeżeli kogoś takiego złapią będzie karany ten bez paszportu i ten, kto u kogo przenocował. Już kilkakrotnie takie obławy robiono i przy tej okazji wielu aresztowano. Poszłam więc do naręczonej mojego brata, lecz tu już nastąpiła tragedia.

Właśnie w przeddzień Lila powróciła z przesłuchań w NKWD, które trwały kilka dni i nocy, Była pobita i maltretowana. Tu mi też odmówiono noclegu, bo to i dla mnie miałyby fatalne skutki. Była zima. Bardzo dużo śniegu. Wołyńskie zimy były mroźne i śnieżne. Było już po zachodzie słońca, zaraz będzie zmrok... Przyszło mi na myśl, że może jeszcze w zajezdzie żydowskim, w którym zatrzymywali się chłopci wraz ze swymi furmankami, będzie ktoś znajomy ze wsi Iwańczyce. Niestety, nie było nikogo. Nie miałam innego wyjścia.

Wyszłam za miasto na drogę do Iwańczyce. Przy tym trakcie nie było zabudowań, pola szeroko rozprzestrzeniły się, aż po ciemniejące z dala pasmo lasu. Szłam koleinami wyjeżdżonymi przez sanie. Oblana byłam potem, grzęzłam w śniegu. Śpieszyłam się,

a do domu tak bardzo daleko. Zrobiło się ciemno zupełnie. Granatowe niebo odcinało się od bieli śniegu. Straciłam poczucie czasu. Szłam jak automat. Zmęczenie i późna pora, a poza tym, strach, wprowadziło mnie w stan odrętwienia-półsnu. Po lewej stronie drogi, ale dość daleko od niej, znajdowało się samotne, wielkie gospodarstwo, otoczone wysokim płotem.

Przypomniałam sobie, że jadąc kilkakrotnie z naszymi wozakami opowiadali, że gospodarz tego zabudowania dla bezpieczeństwa trzyma całą zgraję bardzo złych psów. Właściwie nikt nie chce odwiedzać tego domostwa, I właśnie, gdy zbliżałam się widząc zarys domu, usłyszałam ujadanie psów. Na jasnej płachcie pół ukazały się, oderwane od domostwa, psy. Cała wataha. Przecież mnie rozszarpią, gdy dopadną na drodze. Żadnego schronienia, co robić? Może położyć się w bezruchu... i właściwie straciłam przytomność, osunęłam się na śnieg. Nagle usłyszałam głos „Panienko, obudźcie się, trzeba uciekać a te sobaki nas zagryzą”. Był to chłop z naszej wsi, ojciec dziewczynki, którą malowałam. Pomógł mi wsiąść na sanie i ostro ruszył do przodu. Psy dobiegały, starały się wdrapać na brzegi sanek. Boże, jaka byłam szczęśliwa... Dojeżdżaliśmy do lasu, dalej już były Iwańczyce, Ta nocna przygoda trwała do czwartej rano. Rodzina była zdumiona tym wszystkim. Bardzo dziękowali mojemu wybawcy.

Znałam we wsi wszystkich. Czasem młodzież prosiła, aby siostra jako kierowniczka pozwoliła na urządzenie zabawy w sali szkolnej. Wtedy cały dom drżał w posadach. Bęben, skrzypki i harmonia to podstawa wiejskiej kapeli. Nazajutrz sala była uprzątnięta. Myśmy jednak w takie noce oka nie zmrużyli. Na jedną zabawę chłopcy przyszli do rodziców, aby mi pozwolili brać w niej udział. Nie mieliśmy w tych tragicznych czasach ochoty na zabawy - u nas była żałoba. Jednak bardzo prosili, żeby nie odmawiać, bo będą uważali, że gardzimy nimi (oni są wrażliwi na tym punkcie, przecież im nie mogłam mówić o naszej boleści). Więc poszłam. Do ostatnich potów tańczyłam trepaki, kozaki, itp. Byli zdumieni, że to potrafię. Zjednałam sobie ich przyjaźń całkowicie.

Kilka dni po tej zabawie, nocą została urządzona obława przez NKWD, aresztowali ponad 60 osób. Teraz i Ukraińcy poznali łapę komuny, której bardzo niektórzy sprzyjali. Zaczęły się wędrówki do więzienia, starania o wypuszczenie, o dostarczenie żywności... nic nie pomagało. W tym czasie również nasilono aresztowania Polaków w Łucku.

Przychodziła do nas taka nieco starsza kobieta Kaśka. Była ona „pocztą” całej wsi, zносиła nowinki, w wielkiej tajemnicy przekazywała to, co uważała za stosowne. Od niej dowiedzieliśmy się, że w wiosce są dwa nurty nacjonalistyczne nawzajem się zwalczające, a teraz obydwie te zgrupowania zastały zdziesiątkowane. Sowietci chcieli oczyścić Wołyń z jego mieszkańców i oprócz więzień zastosowali pobór do wojska Ukraińców.

Była Wielkanoc, pogoda śliczna, słoneczna. Przyszła Kaśka (tak kazała się nazywać) i w wielkiej tajemnicy spytała, czy zauważyliśmy dziś rano samoloty jak krążyły wysoko, niewidoczne zupełnie? To niemieckie samoloty, w nocy też słychać było ich warkot. „Pani, oni zrzucali ulotki, będą zrzucać spadochroniarzy... Oni przyjdą i Ukraińcom pomogą, my wiemy bardzo dużo”. - Kasiu, po co nam to mówisz? Czy się nie boisz, że możemy zdradzić? - Komu zdradzicie, komunistom? Przecież ich koniec już bliski. - Nie jesteśmy pewni, że ich koniec jest bliski. Trzymają z Hitlerem, aresztują, wywożą... Jakich ich koniec? Wspomnicie moje słowa!

Jedną z często nas odwiedzających była siostra małego ucznia. Chłopak był prześlizgnięty, miał piękne czarne oczy, a rzęsy na pół policzków. Ona, Marysia też była piękna, smukła i bardziej inteligentna od innych mieszkanki. Często chodziła bez chustki, co jest rzadkością na wsi i wtedy widać było jej grube, czarne warkocze, Naprawdę urzekła urodą, a jednak nie była lubiana we wsi, nie uczestniczyła w życiu młodzieży, trzymała się z dala, jedynie do nas

Ignęła. Zawsze coś przynosiła ze sobą; śmietaną, jajka, świeżo upieczony chleb. Dziwiliśmy si, że taka piękna dziewczyna nie wychodzi za mąż, Kasia zdradziła częściowo tajemnicę Marysi. Otóż Marysia miała narzeczonego. Uczony chłopak, chodził do Szkoły Handlowej w Łucku. Za przynależność do wywrotowej organizacji nacjonalistycznej został usunięty ze szkoły. Był sierotą, jedynie tu w Iwańcyczach miał wujka, który był popem. Właśnie chatka tego popa stała obok szkoły w małym, zaniedbanym ogrodzie. Ale pop uciekł do innej miejscowości, bo miał zbyt dużo nieprzyjemności ze strony policji a w późniejszym czasie ze strony NKWD. Ciągłe robiono rewizje - poszukiwano narzeczonego Marysi, Witalisa. Podobno na kilka dni przed wybuchem wojny Witalis odbywał kolejną karę w więzieniu. Wypuszczony został wraz z innymi więźniami przez władze. Wracając do swojej wsi, w pobliżu niewielkiego lasu został z ukrycia postrzelony. Dostał kulę w okolicę krzyża. Znalaziono go rannego, bez możliwości poruszania się. Zwalono go po prostu w chacie wujka, który po udzieleniu pierwszej pomocy wyjechał. Za przynoszenie żywności i udzielanie pomocy Marysię przepędzano, obrzucano kamieniami. Dlaczego? Dlatego, że Witalis był „prowodyrem” jednej grupy, druga zaś chcąc co wyeliminować z gry, postrzeliła go i teraz utrudniali mu powrót do zdrowia. Czy na doniesienia przeciwników., czy na doniesienia tamtejszych komunistów do Witalisa przyjeżdżało NKWD. Kilkakrotnie zabierali go na przesłuchania do więzienia. Wreszcie przywieziono go z powrotem, po wielu torturach, do tej opuszczonej chaty stwierdzając, że nie warto się zajmować kaleką, nie zdolnym do chodzenia. Rodzice Marysi nie życzyli sobie takiego zięcia, więc wzbraniano jej chodzenia do Witalisa.

Lecz na miłość nie ma rady, Witalis w tej chacie ostatnio przebywał po kryjomu. Nikt ze wsi nie wiedział gdzie jest, bo nie wiadano czy znowu nie przebywa w więzieniu. Nie zapalało się tam nigdy światło i nie uchodził z komina dym. Okna były przez popa zabite deskami. Myśleliśmy, i wszyscy, którzy starali się śledzić Marysię, że ona do nas przychodzi. Byliśmy przez nią odwiedzani mimochodem, po kryjomu zakradała się do opuszczonej chaty, z żywnością i wiadomościami dla Witalisa. Pewnego razu Marysia przyznała się, że pomaga Witalisowi, lecz nie zdradzała miejsca jego pobytu. Teraz, gdy już od niej dowiedzieliśmy się o jego losach, Marysia prosiła mnie o pożyczenie książek polskich, wszystko jedno jakich, dla Witalisa, bo on z nudów bardzo cierpi. Rodzice Marysi wreszcie pozwolili na ślub. Ze względu na jego kalectwo odbył się on w domu Marysi. Przed domem ustawiono łóżko, na którym siedział Witalis, Marysia stała obok niego. Była tylko rodzina i pop w ten sposób udzielał sakramentu małżeństwa. Więc od tego czasu Witalik już oficjalnie zamieszkał u Marysi. Po tygodniu od ślubu Marysia zaprosiła mnie do siebie mówiąc, że teraz Witalik chce mnie poznać. Nazajutrz wybrałam się do niej. Szłam na przelaj przez pola, był kwiecień 1941 roku. Marysia wyszła po mnie do furtki. Wprowadzając mnie do sieni powiedziała, że ona teraz przygotowuje coś w kuchni do jedzenia, a ja mam iść do ich pokoju. Zastukałam i weszłam. Bardzo byłam ciekawa jak wygląda mąż Marysi. Jakież było moje zdumienie, gdy zobaczyłam stojącego przy oknie Witalisa. Zupełnie pewnym krokiem podszedł do mnie, aby mnie powitać. Ja tylko prawie krzyknęłam: „To ty chodzisz?”- „Tak jak widzisz”. Witali, czy nie boisz się, że mogę cię zdradzić?

O, nie ma obawy. Ja cię znam od chwili, gdy do naszej wsi przybyłaś z rodziną. Wiele o was mi mówiono, jesteście dobrymi ludźmi i dlatego ja chciałem cię poznać, muszę ci coś pokazać i powiedzieć.

Zanim będziesz mi coś pokazywał, proszę cię powiedz jak wytrzymałeś dochodzenia w NKWD, jak utrzymałeś w tajemnicy swój pobyt w tej chałupie nieopalanej i w ciągłym napięciu, Marysia dużo mi o tym mówiła.

O, ja jestem twardy, zbyt dużo miałem wrogów wśród obcych i wśród swoich, popatrz ja tu mam takie spodnie uszyte ze skóry, włosem do środka, które pozwalałyby przetrwać spanie

na betonie. Ja jestem zawzięty, przeszedłem badanie lekarskie w więzieniu, gdzie mnie kłuto szpilkami sprawdzając, czy naprawdę nie mam czucia w nogach. Przeszedłem wiele, ale zmierzam ku lepszemu... Witalis był pięknym mężczyzną, blondyn o zielonych bystrych oczach. Tworzyli z Marysią śliczną parę. Marysia przyszła do nas zadowolona z niespodzianki. Witalis poprosił ją, aby przyniosła to coś, co jest schowane... Po dłuższej chwili podała mu dość dużych rozmiarów rulon. Zaczął rozwijać, były to odezwy, plakaty i „bibuła” czyli różnego rodzaju instrukcje i polecenia w języku ukraińskim. „ Po ukraińsku umiesz czytać, jak coś będzie niejasne, to ci przetłumaczę.1”. Zamarłam z wrażenia: „Smert lacham, židowskoj komuni i wsim...i tak dalej”. „Wolna samostijna Ukraina wyda wszystkim narodom wojnę...” i tu następowało wyliczenie według alfabetu, zaczynając od Ameryki. „Dla Żydów i Polaków nie ma miejsca na Ukrainie”. „Tu nie pozostanie ani starzec ani dziecko tej narodowości, Polaków przepędzimy bez żadnej litości”, „Ukraina tylko dla Ukraińców”, „Nasi wypróbowani przyjaciele Niemcy pomogą nam w walce o naszą ojczyznę”.

Nie mogłam czytać, byłam wzburzona. Witalik, my przecież mamy wspólnych wrogów, powinniśmy być razem, czy ty nie wiesz, co Niemcy robią z podbitymi państwami ty nie wiesz jak oni niszczą ludzi? A Witalis chłodno odpowiedział:

- Razem to my już byliśmy i na Polaków nie będziemy liczyć, wy stąd musicie odejść!
Odejść ? Przecież to moja ojczyzna, ja tak kocham Wołyń...

Tak, Wołyń to też moja ojczyzna. My tu jesteśmy korzeniami tej ziemi, to nasza ziemia. I nie mów, że Ukrainy nie było, Ukraina będzie. Dlaczego powiem dlaczego ci o tym mówią i pokazuję takie tajne rzeczy. My jesteśmy zorganizowani. Ja przecież będąc w ukryciu kierowałem moim odcinkiem, ja mam swoich ludzi. To nie jest zabawa. Mówię ci o tym, abyście wiedząc, mogli się przygotować do opuszczenia Ukrainy. Potem, gdy się już zacznie, będzie za późno. Uwierz mi. Ja szanuję ciebie i twoją rodzinę, widziałem jak ty z naszymi ludźmi żyjesz w przyjaźni, dlatego zdradzam ci to, czego nawet Ukraińcy nie wiedzą.

-Witalik, ja rozumiem, że chcecie mieć swoją ojczyznę, ale w każdym kraju żyją różni ludzie, różne narodowości. Tylu twoich i tylu moich wywieziono na Syberię. Za Bugiem trwa niemiecki terror, jak można im wierzyć.

Witalik starał się jednak w dość delikatny sposób zapoznać mnie z przyszłością, rysującą się przed narodem ukraińskim. Gdyby nie te odezwy i ulotki, podsycające do jawnej zbrodni, nie uwierzyłabym słowom. Jeszcze raz zapewnił mnie, że mając takiego sprzymierzeńca jak Niemcy na pewno dojdą do swego. Witalik powiedział, że przecież oni współpracują od pierwszego dnia wojny z Niemcami, że jeszcze przed wojną działacze ich szkoleni byli w Niemczech, Rozeszliśmy się bez osobistej urazy, ja przygnębiona, a on pełen wiary.

I oto nastąpił czerwiec. Na odległych szosach słychać było wielki szum, a w górze latały ciężkie, niezdarne sowieckie samoloty, które nazywano czasami „trumnami”. Sowieckie wojska, czołgi i artyleria pędziły raz na zachód, to znowu na wschód. Na szosach robiły się zatory. Ludzie przynosili coraz to nowe, zadziwiające wiadomości. Ze wszystkich trzech szos ze strony Torczyna - czyli Włodzimierza, ze strony Kowla i ze strony Łucka pędzili w bezwładzie Rosjanie i cały ten zamęt skoncentrował masę wojska właśnie w naszej wsi. Zaczęło się ostrzeliwanie armatnie i zaczęły krążyć niemieckie samoloty, Na nasze podwórko przybiegli chłopci z łopatami i zaczęli rozkopywać zarośnięty krzakami pagórek. Okazało się, że jest tam wejście do starych lochów, ciągnących się pod stawem na wyspę, na której znajdowały się ruiny dawnego zamku. Chłopci odkopywali te lochy, aby można było schronić się; przed kulami i odłamkami. Było coraz goręcej, do schronu weszło już bardzo dużo ludzi. Weszła też i nasza rodzina; przycupnęliśmy pod murem, jednak blisko wylotu, bo głębia ciemnego lochu nas przerażała. Ktoś znowu przybiegł z wiadomością, że nad lochem

usytuowała się ruska artyleria przeciwlotnicza. No to teraz Niemcy prawdopodobnie właśnie tu skierują bomby...

Nastąpiła cisza. Obserwatorzy przy wejściu zauważyli, że działa przeciwlotnicze zostały przeniesione dalej. Oczekiwanie... Nagle padł rozkaz: wychodzić natychmiast z lochu i oddać broń! Kobiety zaczęły wołać, że tu nie ma żadnej broni, my się chronimy przed kulami. Rozkaz był twardy. O ile za pięć minut nie wyjdziemy oni wrzucą do lochu granaty, bo nie wierzą, że tam jest tylko ludność cywilna. Chłopi zaczęli powoli zbierać się do wychodzenia. Zobaczyli jak ta grupa NKWD-zistów (poznali ich po mundurach) uciekała w popłochu przez łany żyta. Nie zdążyli nas uśmiercić, a to było ich zasadą w odwrocie niszczyć wszystko a przeważnie ludność. Przecież w więzieniu w Łucku na pół godziny przed ucieczką wystrzelali około trzech tysięcy ludzi.

I znowu zrobiła się cisza. Na drogach pozostał wojenny sprzęt. Żołnierzy Czerwonej Armii nie było widać,.. Siedziałam przytulona do Mamusi w tym lochu i w oczekiwaniu na najgorsze znowu omdlałam. Z lochu już wszyscy powychodzili. Mamusia nie chciała się ruszyć, aby mnie nie budzić, myślała, że śpię. Wreszcie ocknęłam się na głośny krzyk: Hurra! Niemcy już są! Faktycznie, zanim wyszłam na podwórko niemieccy żołnierze już szykowali kuchnie polowe, sami zdejmowali mundury i myli się nosząc wodę z pobliskiej studni. Ludzie otoczyli ich z zaciekawieniem, nie mogli się z nimi porozumieć, więc starałam się być ich tłumaczem. Niemcy byli bardzo przychylnie nastawieni do ludności ukraińskiej. Nie przeszkadzało im to w robieniu fotografii przy okazji rozdawania dziewczętom złotych pierścionków, śmiali się widząc wielką radość dziewczyn. A przecież było to oszustwo: pierścionki nie były prawdziwe. Był to rodzaj spinaczy do rulonów.

Po przepędzeniu Sowietów przewaliła się armia niemiecka na wschód. Zaczęliśmy myśleć o powrocie do naszego domu. Tatuś z siostrą wyruszyli zbadać sytuację. W Łucku następowały nowe porządki; dom nasz stał opróżniony, doglądali go sąsiedzi. Nowo wybrany sołtys przyszedł do nas, aby nam podziękować i powiedzieć, że nie będzie już uczyć polska nauczycielka ukraińskich dzieci, i że oni dadzą nam dwa wozy na załadowanie naszych rzeczy i odwieżą do Łucka. Faktycznie za dwa dni nas odwieźli i zaopatrzyli na drogę w prowiant.

W Łucku znowu aresztowania, teraz dokonywane przez Niemców przy pomocy Ukraińców. Na usilne prośby Ukraińców Niemcy wyznaczyli termin powołania „samostijnej” ukraińskiej władzy. Ukraińcy mieli zaplanowane obsadzenie wszystkich stanowisk swoimi. I znowu zadziwiliśmy się, gdy odwiedziła nas w naszym domu Marysia Rachwalska, ubrana „po miejsku”. Pochwaliła się, że ma piękne, pożydowskie, trzypokojowe mieszkanie. Już się urządzili, Witalik jest na wysokim stanowisku komisarza śledczego (nie pamiętam dokładnie prawidłowej nazwy). Prosiła bardzo, aby ich odwiedzić.

Po pierwszych poczynaniach ukraińskiej władzy nie miałam ochoty utrzymywać tych stosunków. Nie poszłam. Władza trwała do czasu ucieczki powołanej przez Niemców Żandarmerii Ukraińskiej. Niemcy nie wywiązali się ze swoich zobowiązań względem Ukraińców, a Ukraińcy sprzeniewierzyli się Niemcom, Pewnej nocy Niemcy zaaresztowali całą ukraińską władzę. Witalik znowu poszedł „w podpile” to znaczy w las. Marysia wróciła na wieś. Witalikowi udało się uciec przez okno w ostatniej chwili.

ZIMA 1941 ROKU

W domu coraz biedniej, wyczerpały się wszystkie zapasy produktów żywnościowych. Skończyły się również prześcieradła i odzież, które zamieniałyśmy na rynku, zwanym „tołkuczka”, na trochę kartofli lub ziarna. Aby uzyskać mąkę na ugotowanie klusek

„ościstych” trzeba było mleć ziarno w ręcznym młynku do kawy, prosząc Boga, aby się nie zepsuł. Pracy w mieście nie było dla Polaków.

W Arbeitsamcie czasem proponowano dla dziewcząt prace w stołówkach niemieckich albo prace pokojówki, również u niemieckich oficerów. Żadna szanująca się polska dziewczyna takiej pracy nie podejmowała. Szukałyśmy zatrudnienia w ogrodnictwie, lecz bezskutecznie. Okoliczni chłopcy nie zasilali miasta w żywność. Na kartki można było dostać tylko chleb jęczmienno-kasztanowy, z którego do jedzenia nadawała się jedynie skórka, bo całe wnętrze było gorzkie i kleiste. Pracował tylko Tatuś i to dorywczo. Był zdunem i za naprawę pieca też otrzymywał zapłatę w naturze. Na naszą pięcioosobową rodzinę było to naprawdę minimum. Pozbyliśmy się kanapy, za którą Mamusia dostała kozę. To coś konkretnego.

Mieszkania nie mieliśmy czym opalać, w sypialni okna były zasłonięte workami ze słomą i kocami, kilimy nad łózkami przyczepione były szronem do ściany. Spało się w ubraniach. Jedynie w kuchni rozpalało się tak zwaną „kozę” gotując na niej i ogrzewając się. Zdobyta cudem samoróbka - karbidówka słabym blaskiem oświetlała nasze smutne wieczory. Ukraińcy panoszyli się coraz bardziej. Robili donosy na Polaków. Młodzieży męskiej prawie nie widziało się na ulicach.

W taki zimowy dzień przyszła do mnie Stasia Krawczyńska, moja koleżanka gimnazjalna, z propozycją pracy w nowo powstającym zakładzie niemieckim w którym ona jest już od dwóch dni zatrudniona w księgowości. Są dwa wakaty w dziale technicznym: kreślarki i maszynistki. Powinnam się zgłosić nazajutrz. Poszłam pod wskazany adres. Trafiłam na przerwę obiadową. W korytarzu tyło niesamowicie gorąco. O, jakże pragnęłam być w tym cieple jak najdłużej. Czy uda mi się tu dostać do pracy? Słyszę kroki. Wchodzi młody Niemiec w bardzo silnych okularach, kieruje swe kroki do drzwi pokoju technicznego. Idę za nim - Zdziwiony lustruje mnie wzrokiem i pyta:

- O co chodzi?

- Ja w sprawie pracy, miałam się tu dzisiaj zgłosić.

- Tak, potrzebne są dwie osoby do pracy, ale my dzieci nie przyjmujemy. Nieudolną niemczyzną zaczęłam mu tłumaczyć, że przecież mam 20 lat, a tu są moje świadectwa szkolne, metryka ...Niemiec uśmiechnął się drwiąco i powiedział:

- Przecież u Polaków wszystkie dokumenty są fałszywe, przecież każdy z was to partyzant. I ja się uśmiechnęłam z satysfakcją, że Niemcy jednak nas się boją.

- Ale ja naprawdę mam 20 lat i skończyłam gimnazjum, pani Stasia jest ode mnie półtora roku młodsza,

- O, pani Stasia to kobieta - tu zrobił ruch ręką zakreślający obfitość kształtów - a ty panienka jesteś dziecko.

Niemiec mówił częściowo po niemiecku, a częściowo po polsku, gwarowo. Później dowiedziałam się, że pochodził z Raciborza. Nazywał się Franciszek Nedoma. Matka jego była ślaczka, a ojciec miał czeskie pochodzenie. Spuściłam głowę, nie będę prosić. Aufwiedersehen! Skierowałam się do drzwi. Niemiec zatrzymał mnie, jakimś ludzkim uczuciem zabłysły mu oczy.

- Na, gut - panienka naprawdę wygląda tak dziecinnie.

Faktycznie, mój wygląd mylił bardzo ludzi, ale zawsze mi to wychodziło na dobre. Franciszek Nedoma zaproponował mi do wyboru pracę maszynistki albo kreślarki. Boże, przecież ja ani pisać na maszynie nie potrafię, ani kreślić. Jasno postawiłam sprawę: ani tego, ani tamtego nie umiem. Niemcowi bardzo podobała się moja szczerłość,

- Ja nauczę, nie ma pośpiechu, więc co panienka wybiera?

Chwila namysłu. Wolę być kreślarką, bo pewne zdolności plastyczne posiadam i do tego niekonieczna jest biegła znajomość niemieckiego.

- Bardzo dobrze, ja sam jestem inżynierem budowlanym i pewnie nasza współpraca ułoży się. bardzo dobrze. Byłam zdziwiona takim przyjaznym stosunkiem.

Tak więc zostałam zatrudniona w „Ukraine – Film”... w dziale technicznym na stanowisku Technische Zeichnerin. Miałam otrzymywać 70 karbowanów (tymczasowa waluta ukraińska), 2 kg ryby i 1 litr oleju na miesiąc. Karbowanice nie miały żadnej wartości, liczył się najbardziej olej. Zakład „Ukraine - Film” miał za zadanie odbudowanie zniszczonych kin na terenie Wołynia i Podola, oraz uruchomienie ich dla wojska. Przegląd taśm filmowych, naprawa, klejenie oraz rozdzielanie filmów na poszczególne miasteczka aż na front.

Moją pracę rozpoczęłam od obmiaru częściowo zburzonego przez bombę, budynku (dawniej jeden z trzech bloków Banku Rolnego). Następnie robiłam plany pomieszczeń dla brygady remontującej. Zakład ciągle się rozbudowywał i ciągle byli przyjmowani nowi ludzie. Najczęściej dawałyśmy znać o wolnych miejscach swoim kolegom z gimnazjum. Do naszego działu Franc Nedoma przyjmował bez pośrednictwa Arbeitsamtu zasięgając naszej opinii. Mówię naszej, bo do sekretariatu została przyjęta Danka Wasilenko, również koleżanka oraz Janka Kalinowska. W tym okrutnym czasie w pracy miałyśmy miłą atmosferę i bardzo dobrego szefa. Wszyscy, prócz mnie wychodzili do domu na przerwę obiadową. Mieszkałam dość daleko od centrum miasta, a obiadu i tak nie jedliśmy o tej porze tylko dopiero wieczorem. Zostawałam więc w biurze. W tym wolnym czasie dla odprężenia korzystając z brystolu i tuszu rysowałam różne scenki z Miki Mouse - to tak pasowało do zakładu. Pewnego razu Franc Nedoma zastał mnie przy rysowaniu, zgarnął wszystkie rysunczki i wyskoczył z nimi z pokoju. Po pewnym czasie przyszedł z propozycją: mam rysować jak najwięcej takich scenek na brystolu o wymiarach kart pocztowych; wszyscy zatrudnieni Niemcy będą je wysyłać do Reichu.

- A co będzie z kreślarstwem?

- Przyjmiemy nowego pracownika.

I odtąd faktycznie robiłam, co chciałam. Przychodzili pracownicy innych działów z zamówieniami. Rysowałam więc różne historyjki już nie tylko z Miki Mouse.

Pewnego razu Nedoma wychodząc do kasyna na obiad powiedział, że prawdopodobnie podczas przerwy przyjdzie prosto z pociągu nowy pracownik z Berlina na stanowisko głównego księgowego prosi, więc abym się nim zajęła do czasu powrotu z obiadu. Siedzę więc sama. Stukanie odrzwi, Wołam „proszę”. Cisza, nikt nie wchodzi, Mówię więc głośniej. Uchylają się wolniutko drzwi, wchodzi szczupły staruszek, twarz ma ptasią a na cienkim nosie bardzo grube okulary. Proszę go by zdjął płaszcz, usiadł i chwilę poczekał - mówię to przeplatając słowa niemieckie polskimi. Jakież było moje zdziwienie i przerażenie, gdy zobaczyłam, jak ów Niemiec osunął się zemdlony tuż przy drzwiach. Co mam zrobić?

W całym budynku nie było nikogo. W kącie pokoju stała otomanka. Zbliżyłam się do niego, zaczęłam coś mówić, wreszcie wzięłam go pod pachy i zaczęłam ciągnąć po ziemi. W końcu udało mi się oprzeć go plecami o tę kozetkę, Namęczyłam się, bo choć on był bardzo szczupły, ja nie byłam zbyt silna. Poszłam do toalety po wodę. Co teraz – myślę - czy mam go zlać tą wodą, czy tylko pokropić? Zaczęłam od kropienia. Niemiec poruszył powiekami i błędnie spojrział na mnie. W tej chwili znowu zemdlął. Ponownie go pokropiłam i gdy tylko zobaczył moją twarz pochyloną nad nim powtórnie stracił przytomność. Na szczęście w korytarzu dały się słyszeć kroki ludzi powracających z obiadu. Wybiegłam z pokoju i poprosiłam Frau Rymer (kierowniczką jednego z działów). Przybiegła, zorientowała się w sytuacji, wezwała pogotowie.

Po dwu tygodniach pan Nedoma zapowiedział, że Herr Mitendorff, właśnie ten Niemiec, którego cuciałam, dzisiaj przychodzi do naszego działu, aby specjalnie ze mną porozmawiać. Byłam bardzo zdziwiona, dlaczego ze mną? Co się stało? I właśnie wchodzi ów Niemiec w asyście pani Rymer i samego dyrektora. Proszą, aby pan Nedoma tłumaczył. Herr Mitendorff chce mi wyrazić podziękowanie za owo cucenie, ponieważ nie spodziewał się, że z rąk Potki otrzyma opiekę. Tym bardziej, że w Reichu straszono, że Polacy przy każdej okazji wbijają nóż w plecy Niemcom. Stary Niemiec, około 76 lat a może i więcej, nie nadawał się w ogóle do pracy i to jeszcze tak daleko od rodziny. Tak właśnie Hitler powoływał do służb administracyjnych starców, aby mogli zastąpić młodszych powoływanych na front. Nasz Nedoma mając 34 lata nie był powoływany do służby wojskowej ze względu na wadę wzroku, gdyby stracił okulary byłby zupełnie bezbronny. Musiał więc pracować w służbach służących frontowi. Herr Mitendorff podszedł do mnie i poklepując mnie po plecach ze wzruszeniem zaczął się żegnać (był odsyłany do Raichu), z kieszeni wyciągnął 50 marek i chciał mi je wręczyć. Marki takie miały dużą wartość, lecz ja poczułam się dotknięta tym, że za szklankę wody chcą mi płacić. Kategorycznie odmówiłam. Nedoma prosił, abym zrozumiała jak wielkie znaczenie miało moje podejście do starego Niemca, który przerażony był podróżą na Wschód, drżał ze strachu, że polscy partyzanci wysadzą pociąg zanim dojedzie do celu. Gdy wreszcie dojechał został sam na sam z Polką, mdlał po prostu ze strachu. Nie wahałam się jednak ani chwili, nie chciałam po prostu tych niemieckich pieniędzy za ludzki odruch. Bardzo podziękowałam panu Mitendorffowi i życzyłam mu pomyślnej podróży do mocno bombardowanego Berlina, Tego się Niemcy nie spodziewali. Naprawdę „zbaranieli”, patrzyli na siebie i nie mogli zrozumieć. Herr Mitendorff podał mi rękę i ze wzruszeniem kiwał głową. Gdy wyszli pan Nedoma pogratulował mi postawy. To mi się podobało.

Po dwu miesiącach biuro i zakłady techniczne przeniesiono do wyremontowanego gmachu (dawniej Banku Rolnego). Administracja rozrastała się, uruchomiono salę kinową. Wyświetlane były tam filmy jedynie dla najwyższych władz miejskich, a więc Gabietskomisarza, żandarmerii, itp. Nam Polakom wstęp był wzbroniony. „Ukraina - Film” podlegał Wydziałowi Propagandy w NSDAP. Filmy wyświetlano po godzinach pracy, przy zamkniętej furcie do gmachu. Często nagabywałyśmy pana Nedomę o te filmy - chcieliśmy dostać się do kamery projekcyjnej podczas prób. Niestety, nie udało się. Pan Nedoma wręcz powiedział, że filmy są propagandowe, albo bardzo drastyczne z frontu i różnych akcji. Nasz szef nie należał do partii NSDAP, nie brał udziału w ich zebraniach, nie nosił umundurowania. Zawsze nas przestrzegał aby jak najmniej chodzić po korytarzach, unikać wszystkich niezwiązanych z naszym działem.

Nasz szef zakochał się w Dance Wasilenko, swojej sekretarce. Ona oczywiście nie traktowała tego poważnie, bo jedyną jego zaletą była dobroć, człowieczeństwo a powierzchowność całkiem mizerna, no i był Niemcem - wrogiem. On swoje uczucia też musiał ukrywać przed swoimi - zakazane były wszelkie zbliżenia... Polki można było gwałcić bezkarnie, ale na żadne inne uczucia nie pozwalano. Do robót budowlanych i technicznych przywożono z getta Żydów. Pewnego razu Franciszek Nedoma przyprowadził do naszego działu Żyda, przedstawił go jako inżyniera wysokiej klasy, po studiach w Belgii, mającego rodzinę w naszym Łucku (obecnie w getcie). Kazał mi i Jance Kalinowskiej wziąć notatniki i taśmę do obmiaru, razem we czwórkę udaliśmy się do ruin wielkiego bloku. Gdy byliśmy już poza zasięgiem widoczności z biura, Nedoma prosił abyśmy zajęły się panem Sternbaumem, który razem z nami będzie robił plany. Prosił, by być z nim od czasu wyjścia z pracy, aż do czasu gdy będzie musiał wracać z innymi Żydami do getta. Zawiązała się między nami przyjaźń.

Ubolewałyśmy nad losem Żydów. Codziennie każda z nas przynosiła coś do jedzenia dla pana Sternbauma. Dożywiałyśmy go i pilnowałyśmy, aby zjadał przy nas, a dla rodziny też

robiłyśmy składkę. Przy powrocie do getta robiono im rewizje i nie zawsze udało się przemycić żywność dla rodziny. Biednemu, zastraszonemu człowiekowi tak trudno było pomóc. Nedoma często nam towarzyszył, bardzo dobrze czuliśmy się. razem. Ale „idylla” miała się ku końcowi.

Nedoma pewnego ranka zawołał mnie i Dankę do gabinetu, aby powiedzieć, że od jutra nie będą już przywozić Żydów z getta, bo getto ma być ostatecznie zlikwidowane. Będą przyjeżdżać jedynie Żydzi wyreklamowani, więc najlepsi fachowcy,

- Ja „wyreklamowałem” pana Sternbauma, ale to przecież na dwa lub trzy tygodnie a potem i on będzie musiał zginąć. Wy musicie mu pomóc, przecież macie swoją tajną organizację. Szkoda takiego człowieka. Ja wam pomogę, lecz to naprawdę musi być tajemnica, zdajecie sobie sprawę z niebezpieczeństwa, które i wam i mi grozi. Przechowam go na strychu, nad moim pokojem, do czasu załatwienia dla niego lewych dokumentów.

Niemieccy pracownicy „Ukraine – Film, mieszkali na terenie zakładu, który był otoczony wysokim murem i strzeżony po godzinach urzędowania przez portiera. Miałyśmy tak wielkie zaufanie do naszego szefa, że nawet najmniejsza podejrzliwa myśl nie pojawiła się w naszych głowach. Teraz po latach w pełni sobie zdaję sprawę, jaką piękną postacią był ten niepozorny, dobry człowiek - człowiek, który należał do morderczego narodu.

Do naszego działu doszło dwóch nowych pracowników. Jeden Polak, pan Albin Niziuk, drugi Ukrainiec, którego nazwiska niestety nie pamiętam. Ci nowi technicy wysłani byli w teren wszędzie tam, gdzie były kina. Przyjeżdżali co tydzień, wykańczali swoje prace i znowu wyjeżdżali. Jeszcze przez kilka dni przywożono Żydów. Nasz przyjaciel, pan Sternbaum był zdruzgotany swoją tragedią. Nie chciał żyć, chciał dołączyć do rodziny pędzonej na zagładę. Nie mogłyśmy znaleźć słów pocieszenia, nadziei. Cierpiałymy z nim, a w biurze musiałyśmy grać rolę beztroskich, płochych dziewcząt, tym bardziej wtedy, gdy ów Ukrainiec tak mimo chodem powiedział: „No, to już zrobiliśmy porządek Żydami, dalej też będziemy robić”.

Zaczęłyśmy starać się o lewe dokumenty. Burmistrzem miasta był Skorobohatow, z jego córką chodziłyśmy do gimnazjum. Tamarka - córka - była bardzo miła, koleżeńska i właściwie nie czuła satysfakcji z powodu tego, że jej ojciec zrobił „karierę” pomagając Niemcom. Danka Wasilonko poprzez Tamarzę zdobyła druki na Ausweis, a nasi „specjaliści” podziemni załatwili odpowiednie pieczętki (z innych miejscowości), a także jakieś przepustki, świadectwa, itp. Trwało to dwa tygodnie. W tym czasie pan Sternbaum siedział na strychu w ciszy, bez ruchu. Nad ranem przychodził po niego Franciszek Nedoma, sprowadzał do swojego pokoju. Tu się golił, kąpał i jadł a następnie bezszelestnie wracał na strych.

Okres dwóch tygodni trzymał nas wszystkich w napięciu. W tej okrutnej wojnie, rozpętanej przez szaleńca, cicho, w ukryciu były serca ludzi dobrej woli. Dokumenty były. Nedoma zdecydował, że Sternbaum wyjdzie z ukrycia o godz. 18:00 w dniu, w którym wyświetlany był film dla elit niemieckich. Doprowadził go do bocznej furty, za którą czekała młodzież w sztucznie beztroskim nastroju. Po przejściu przez parkan otoczyliśmy biedaka i przeszliśmy małą uliczką do domu jednego z kolegów - tu miał spać noc. Przygotowaliśmy takie trzy etapy, kolejny coraz bardziej wysunięty do rogatki miasta, w stronę szosy na Równie. Ostatnią noc pan Sternbaum spędził w moim domu. Mieszkałam w dzielnicy willowej, obok nieczynnego lotniska. Rano o godz. 8:00 przyszła Stasia i razem, polami, udaliśmy się we trójkę do szosy rówieńskiej. Tu serdecznie pożegnaliśmy się, życząc szczęścia na dalszą drogę. Prosiłyśmy o znak życia. Pan Sternbaum chciał przekroczyć dawną polsko-rosyjską granicę i kierować się na Rumunię. Przez nas był zaopatrzony w prowiant i pieniądze, pan Nedoma podarował mu maszynkę do golenia. Przez następne dni oczekiwaliśmy na wiadomości. Niestety trwała cisza. Z terenu powrócił Ukrainiec. Badawczo się nam

przyglądał, był jakiś podniecony. Stałam przy rysownicy, stanął za mną diabelskim szeptem powiedział: „Wasz Stembaum gryzie już ziemię, po nitce do kłębka dojdziemy, kto w jego ucieczkę był zamieszany”. Struchlałam ze strachu, starałam się udąć zdziwienie, Ukrainiec z uśmiechem odszedł. Odczekałam jakiś czas, pod pretekstem oddania rysunku kierownikowi, weszłam do gabinetu. Powiedziałam wszystko panu Nedomie.

- A więc nie udało się. Szkoda człowieka. Teraz muszę zadbać o nasze bezpieczeństwo, muszę być szybszy niż Ukrainiec. Nie przyznawajcie się do niczego i unikajcie rozmów z Ukraińcem.

Następnego dnia Ukrainiec nie przyszedł do pracy. Nie zjawił się tam już nigdy, Pan Nedoma prosił, aby o nic nie pytać.

Auta ciężarowe naszej firmy kursowały do wszystkich miast i miasteczek Wołynia i Podola. Byłam łączniczką Zygmunta Rumla, komendanta VIII Okręgu Batalionów Chłopskich, Często za zgodą swojego szefa korzystałam z naszego transportu, gdy trzeba było dotrzeć do punktów kontaktowych w Kowlu, Włodzimierzu, Krzemieńcu czy Równem. Szef mój bez pytań dawał mi przepustkę, wiedząc doskonale, że nie wyjeżdżałam do rodziny. W mojej pracy łączniczki bardzo pomagał mi dziecienny wygląd (mimo moich 20 lat). Byłam szczupłą, małą, nikt mnie nie brał poważnie.

Pewnego razu Danka Wasilenko pojechała do Warszawy, Przepustką na wyjazd wyrobił jej w Gabietskomisariacie pan Nedoma. Nawet nie musiała iść osobiście do urzędu. Strasznie zazdrościłam jej tego. Nie śmiałam prosić pana Nedome o taką przysługę. Po powrocie Danki z Warszawy, przysłuchując się naszej rozmowie na temat wrażeń z podróży, nasz szef po prostu sam mi zaproponował służbowy wyjazd do Warszawy, po materiały kreślarskie i brystol, którego tu nie można było dostać.

- No, Miki Mouse (tak mnie nazywał), przecież chcesz odwiedzić rodzinę.

- Ja nie mam tam rodziny, ale pojechać chcę.

- Załatwione, szykuj się, za dwa tygodnie będziesz mogła jechać.

Natychmiast zawiadomiłam moich przełożonych z organizacji, aby szykowali materiały do Warszawy, Przed wyjazdem szef zapowiedział, że muszę tak ułożyć sobie trasę i czas powrotu, abym nie spóźniła się do pracy ani o jeden dzień, gdyż on odpowiada głową przed Gabietskomisarzem. Gdybym się pokusiła o pozostanie w Warszawie, to on miałby bardzo wielkie nieprzyjemności. No, i zaczęła się moja przygoda.

Wyruszyłam wraz z Irką Kapuścińską, strasznie płochą dziewczyną, która miała pozostać u rodziny w Lublinie, Do przejścia granicznego na Bugu dostałyśmy się autostopem. Zdziwiło nas to, że celnicy w ogóle nas nie kontrolowali, przybili pieczętkę na dokumentach i pozwolili przejść przez most. Irka już nawiązała kontakt z chłopcami ze Strale, którzy byli tu zatrudnieni przy pracach drogowych. Było ich dwóch. Wzięli nasze pakunki i zaproponowali odprowadzenie do końca mostu. Byłam zaopatrzona w złotą pięciorublówkę, za którą miałam zrobić zakupy koleżankom, i woreczek z kaszą gryczaną rzekomo dla rodziny. Miałam go oddać na punkcie w Warszawie. Nie byłam świadoma całkowitej wartości owego woreczka, zapowiedziano mi, że w razie niebezpiecznej sytuacji mam go zostawić i nie przyznawać się, że to mój. Ważył 2 kg. Gdy byliśmy już na moście jeden z chłopaków powiedział:

- No, teraz dziewczęta śmiejemy się wesoło i hałaśliwie, mówimy sobie po imieniu, tu zaraz we wnęce mostu będzie budka strażnicza. Tu Niemcy sprawdzają jeszcze raz dokumenty i rewidują. Ale ponieważ my się z nimi znamy, więc pozorujemy naszą zażyłość, my im wytłumaczymy, że jedna z was to siostra cioteczna a druga sympatia. Przechodząc obok strażnika chłopcy wesoło go pozdrowili i nie zatrzymując odprowadzili nas aż do końca

mostu. Powiadomili nas, że nie wolno nam zatrzymywać w odległości 2 kilometrów od rzeki, ani nie wstępować do żadnej restauracji, bo teren jest naszpikowany szpiclami. Jak najszybciej dostać się do głównej szosy i autostopem jechać dalej.

Pierwszym moim etapem był Hrubieszów. Przenocowałam u koleżanki. Nazajutrz miałam się udać do dworku (miejscowości nie pamiętam), tam miałam dostać dwa adresy kontaktowe w Warszawie. Pod jednym z adresów mieszkała rodzina Hanki Rumlowej, żony mojego komendanta, W dworku pani, która się mną zajęła ułatwiła mi przejazd ciężarówką do Lublina. Stąd wyjechałam do Warszawy pociągiem. W wagonie był tłok niesamowity, przeważali ludzie z tobołami. Od czasu do czasu przeciska, się jakiś inwalida w czapce rogatywce i kurtce wojskowej, z drewnianą protezą, w towarzystwie chłopaczka grającego na organkach piosenki patriotyczno-podwórkowe, piosenki, które momentami stawały się pieśniami Polski Walczącej. Gwar milkł. Czasem ktoś otarł łzę, dawano hojnie datki. Czasem urywała się piosenka na skutek ostrzegawczego gwizdu: to znak, że Bahnschutze są blisko. Robiło się już ciemno.

Nagle pociąg został zatrzymany. Zapanowała cisza. Ludzie stojący bliżej okna informowali, że stoimy z dala od stacji, na jakimś przedmiejskim przystanku, ale na peronie jest masa żandarmerii. A więc będzie rewizja i łapanka. Z wrzaskiem do wagonów wchodzili Niemcy i kazali wszystkim wysiadać. Nie wiedziałam, czy już teraz mam porzucić kompromitujący woreczek z kaszą, czy jeszcze nie? Zostałam wypchnięta na peron. Tu Niemcy zrobili dwa kordony; na lewo kierowali ludzi z większym bagażem, na prawo- z małym i tu ja się znalazłam. W kolejce oczekiwałam na przejście przez ciasną bramkę w której dyżurował niski Bahnschutz. Dość pobieżnie kontrolował dokumenty, Doszłam do niego, pokazałam swój ukraińsko-niemiecki Ausweis. To go zainteresowało i zapytał dość uprzejmie czy jestem Ukrainką. „Nie, ja jestem Polką”. Chyba znowu natrafiłam na Ślązaka, bo zwrócił się do mnie gwarą:

- Panienska pewnie jest siostrą Hitlera?

Na tak głupie pytanie naprawdę nie wiedziałam, co odpowiedzieć. Szukałam w myślach powodu tak zadanego pytania. Na wszelki wypadek uśmiechnęłam się i spytałam jego:

- A czy Hitler ma siostrę?

Ale jak się okazuje, on też nie wiedział. Pomyślałam, że dość dużo „przygłupów” służy Trzeciej Rzeszy. Ale ten „przygłup” miał jednak trochę serca i sumienia. Konfidencjonalnie poklepał mnie po ramieniu i cicho powiedział:

- Panienska niech idzie na salę dworcową i czeka do godziny 7;00, bo teraz jest godzina policyjna. Proszę nie siadać w tłumie, lecz stać bliżej ściany, okna, bo mogą panienską zgarnąć z innymi, o ile dzisiaj będą robić obławy. Przecież mógł mnie wcale nie uprzedzić.

Wreszcie dostałam się na ulicę Zajęcą. Warszawę znałam tylko z wycieczek szkolnych; ostatni raz byłam tam w 1937 roku, ale często zwracałam się po informację do ludzi, którzy bardzo chętnie mi pomagali. Matka pani Hanki Rumlowej nakarmiła mnie i po wielu serdecznościach powiedziała, że niestety musi mnie wysłać na inne mieszkanie, gdyż jej mieszkanie jest pod stałą obserwacją i nie chce mnie narażać. Woreczek z kaszą i inną zawartością musiałam zabrać na nowe lokum, a nazajutrz odpowiednia osoba miała się zgłosić po przesyłkę.

Mieszkanie było puste, bez lokatorów, służyło za „melinę”. Nie mogłam zapalać światła, musiałam siedzieć cicho. Całą noc wsłuchiwałam się w tętno umęczonego miasta. Miałam przez kilka dni czekać na skompletowanie materiałów, które zabrać musiałam na Wołyń. Poszłam więc na Warszawę, obserwowałam wszystko dookoła. Życie wrzało, ruch, mały handel „Kawiarnienuur fur Deutsche” i tramwaje z przednimi miejscami dla „władców świata”. Po ulicach gęsto snuły się patrole żandarmerii. Na słupach ogłoszeniowych - listy zakładników. Boże, jaki ciężki los.

Po kilku dniach wreszcie przyniesiono plik biuletynów informacyjnych, dolary w kopertach a także grypsy. Miałam to zapakować w małą paczuszkę i trzymać oddzielnie, nie w torbie z osobistymi rzeczami. I znowu ostrzeżenie; w razie łapanki niepostrzeżenie pozbyć się paczki. Następnego dnia, gdy wychodziłam z mieszkania, otworzyły się drzwi mieszkania vis a vis, starsza pani bardzo badawczo mi się przyglądała, wreszcie podeszła do mnie z wyciągniętymi rękoma: - Co ty tu robisz, Figa? (tak mnie powszechnie nazywano i w domu, i w gimnazjum) W pierwszej chwili nie mogłam poznać tej pani, później okazało się, że przed wojną miała w Łucku swój dom w pobliżu naszego. Była bardzo zainteresowana życiem na Wołyniu i losami znajomych. Długo rozmawiałyśmy. Moja znajoma bardzo gorąco zapraszała mnie do siebie, choć na kilka dni. Proponowała mi także pozostanie z nimi na zawsze. Byli bezdzietnym małżeństwem. Ale ja przecież też miałam swoją kochaną rodzinę. Znajoma zawładnęła mną całkowicie, nie opuszczała ani na chwilę, robiła ze mną zakupy. Jednak raz musiałam wymknąć się jej niepostrzeżenie, aby pożegnać się z rodziną Hanki, zabrać listy i oddać klucze. Gdy wychodziłam zabierałam „trefną” paczuszkę ze sobą.

Na koniec bytności w Warszawie odłożyłam zakup rulonu brystolu. Wypatrzyłam mały sklep z materiałami papierniczymi. Było w nim kilkoro kupujących. Odmierzono mi kilka metrów brystolu o szerokości 2 metrów. Gdy sprzedawca zaczął go zwijać spytałam: czy mógłby zawinąć kilka kopert do wewnątrz rulonu. Popatrzył badawczo: „Proszę bardzo, ale przejdziemy do sąsiedniego pokoju, tam będzie więcej miejsca na stole”. Niepewność, czy nie wpadłam? Czy to konfident, czy swój? Co miałam zrobić?

Pan uśmiechnął się porozumiewawczo. Zaczął układać podawane przeze mnie koperty bez słowa, ciasno zwijając rulon. Sprawdził z jednej, i drugiej strony i zaczął go pakować w szary papier i wiązać szpagatem. Poprosiłam, aby cały rulon owinął szarym papierem, bo czeka mnie długa podróż na Wołyń, Wtedy pan powiedział, że musi być prześwit, w razie jakiejś kontroli tak zapakowany papier nie będzie wzbudzał podejrzeń, I znowu ostrzeżenie: proszę nie wchodzić do środka tramwaju, proszę stać na pomoście, w razie łapanki odsunąć się od rulonu. Byłam oczarowana Warszawiakami, to była solidarność! Moja znajoma zaopatrzyła mnie w prowiant na drogę i z płaczem pożegnałyśmy się na dworcu. Mogę powiedzieć, że naprawdę miałam szczęście do ludzi.

Przyjechałam do domu w ostatnim dniu urlopu. Franciszek Nedoma był bardzo zdenerwowany i w tym właśnie dniu przystał do mojego domu koleżanki, aby sprawdziły, czy jestem. Byłam bardzo zmęczona podróżą, lecz nie dano mi się wyspać. Koleżanki, koledzy przyszli całą gromadą, aby dowiedzieć się ode mnie, jak jest tam za Bugiem, w Warszawie, w tym trzonie Polski. Janka Kalinowska przyprowadziła ze sobą Cześka Dąbkowskiego. Znałam go z widzenia, uczył się w handlówce jakiejś szkole leśnej. Do tej pory nigdy się nim nie interesowałam, lecz teraz zrobił na mnie duże wrażenie. Wysoki, zgrabny blondyn tak mi się wtedy zdawało, że podobny był do bohaterów obrazów Grottgera. Wiele w nim mnie pociągało, lecz również coś ostrzegało. Pracował w leśnictwie w Jabłonce - leśnik to mój wymarzony zawód dla mężczyzny. Strasznie kochałam wołyńsko-poleską przyrodę i fakt, że Czesław pracował właśnie w lesie dodawało mu w moich oczach jeszcze więcej uroku. Tak to się zaczęło.

W pracy, na przywiezionym brystolu rysowałam wraz z Janką mapę Wołynia i Podola, z naniesieniem wszystkich miast, w których były kina. Kiedyś, gdy Czesiek chyba po raz czwarty odwiedził mnie, był bardzo wzburzony. Ukraińcy zrobili napad na leśniczówkę. Tej nocy on nie spał w mieszkaniu, lecz na sianie w stodole. Przez szpary widział, jak buszują po mieszkaniu, wynoszą rzeczy, zaglądają w każdy kąt. Powybijali okna, jednak do stodoły nie zaglądali. Rano zobaczył spustoszenia, wszystkie dokumenty, papiery zostały częściowo podarte i spalone. Czesław zameldował o tym władzom w Dyrekcji Lasów w Łucku. Niemcy

zawiesili działalność tej leśniczówki. Po jakimś czasie Czesław postanowił udać się konno do leśniczówki po resztę swoich rzeczy. Ukraińcy przygotowali jednak zasadzkę, złapali go i zabrali na posterunek swojej policji. Pobili. Posterunkowy nie wiedział, co właściwie z nim zrobić. Postanowił pod eskortą zawieźć go do Łucka na posterunek ukraińskiej wojewódzkiej policji. Wieźli go związanego na furce. Jego konia również przywiązali do wozu, ponieważ Czesław powiedział że koń jest własnością Niemców. Gdy byli już w mieście wyprosił, aby ktoś z eskortujących go zaniósł do Dyrekcji wiadomość o koniu i o nim. Po wielu targach zgodził się któryś z nich doręczyć karteczkę pisaną na skrawku papieru. Tym sposobem Niemcy z Dyrekcji Lasów poinformowani o aresztowaniu jednego ze swoich pracowników terenowych, natychmiast doprowadzili do przekazania aresztowanego władzom niemieckim, a następnie zwolnienia.

Po kilku tygodniach Dyrekcja Lasów wysłała Czesława na nową leśniczówkę do Bobeł, koło Turzyska. Czesław mógł przyjeżdżać teraz rzadziej. Kiedyś po przyjeździe nie zastał mnie w domu. Byłam wysłana z organizacji do Krzemieńca, oczywiście korzystając z zakładowego auta, za zgodą pana Nedorny. Kierowcą był Rosjanin, który nie wrócił do Rosji. Pijak niesamowity. Wiózł materiały techniczne do krzemienieckiego kina i do Wiśniowca. Umówiłam się, że będę czekała przy wylocie szosy, około godziny 20:00. W mieszkaniu, do którego miałam się udać, bardzo długo musiałam czekać na gospodarza. W domu były tylko: stara gosposia i staruszka, może dziewięćdziesięcioletnia, siedząca na wielkim fotelu (malownicza postać). Zupełnie nie mogłam się z nią porozumieć; była głucha i otepiała. Wreszcie po kilku godzinach oczekiwania zjawiała się żona tego pana, z którym miałam rozmawiać. Myślę, że ze względów konspiracyjnych nie chciała przyjąć małej paczki. Dobrze, że chociaż poinformowała mnie, że mąż jej dziś pracuje na nocnej zmianie w elektrowni na drugim końcu miasta. Lecz szczęśliwie elektrownia usytuowana była przy szosie Dubieńskiej, przy której byłam umówiona z kierowcą.

Była jesień, robiło się ciemno, zimno, a ja nic nie jadłam. Dotarłam do elektrowni, wewnątrz hali panował straszny hałas. Chciałam jak najprędzej opuścić to miejsce. Po oddaniu paczki prędko wyszłam za miasto na szosę. Przystanęłam koło drzewka, ruch zupełnie ustał. Nie wiedziałam, czy moje auto już przejechało, czy jeszcze nie. Prosiłam Boga, aby nie zjawił się żaden patrol żandarmerii. Czekałam ponad godzinę. Wreszcie usłyszałam odgłos jadącego samochodu. Nie byłam pewna, czy to właśnie ten. W ostatniej chwili wychyliłam się, dając znać, aby się zatrzymał. Na szczęście był to właściwy samochód. Zmarznięta, głodna siedziałam cicho, a „mój” kierowca zygzakiem pokonywał szosę. W kabinie czuć było samogon. Późną nocą dojeżdżaliśmy do Łucka. Ale jeszcze przed tym, na szosie za Dębem ostrzelali nasz samochód jacyś „mołojcy” ukraińscy. Na szczęście kule trafiały w brezentową budę. Przy wjeździe do Łucka kierowca powiedział, że jest bardzo zmęczony i nie odwiezie mnie do domu. Mogę pojechać z nim do jego domu, a jutro pojedziemy razem do pracy. Nie mogłam się na to zgodzić. On nie miał żadnych podejrzanych zamierzeń wobec mnie, był po prostu i zmęczony, i pijany. Wsiadłam więc z auta i po kilku krokach znalazłam, się oko w oko... z dwoma żandarmami. Przepustka na wyjazd służbowy ich zadowolila. Do domu poszłam spocona z wrażenia, nikt nie spodziewał się mnie o tej porze. A nazajutrz znowu do pracy.

Czesław coraz częściej przebywał ze mną. Prosił, abym zaprzestała wyjeżdżać w teren. Starał się przekonać i mnie i rodziców, że nie powinnam niepotrzebnie narażać się; wystarczy, że robią to mężczyźni.

W naszym domu został zakwaterowany „Sław” z Delegatury Rządu. Stale ktoś z „naszych” przyjeżdżał, nocował, czekał i odjeżdżał. Jeszcze wiosną byłam zaprzysiężona przez Zygmunta Rumla. Pamiętam kwietniowy, słoneczny dzień. Nocował u nas Zygmunt Poręba, Wczesnym rankiem postanowił wraz ze mną udać się do wsi Zaborol, aby mi pokazać punkt

kontaktowy i przedstawić „Lechowi”. Było ślicznie, skowronki dzwoniły w błękitach, pola osnute złotą mgiełką, w dali las. Zdawało się, że wojny nie ma. Zdawało się, że wrócił dobry, spokojny czas, że to wszystko, co się zdarzyło, było tylko koszmarnym snem. „Zygmunt” zachwycał swoją artystyczną duszą, zachwycał powierzchownością i wzbudzał szacunek. Był cały oddany walce. Nie miał domu, nie miał życia rodzinnego, był jak wędrowny ptak nie znający swego jutra. Ze swoją żoną Anną widywał się przelotnie, na szlaku. Oboje byli w każdej chwili narażeni na śmierć, nie szanowali swojego życia, oddali je Polsce.

A więc idziemy do Zaborola. Jakże często w tych lasach nasi harcerze urządzali biwaki i obozy, teraz to tylko wspomnienie. W pewnej chwili „Andrzej” (Zygmunt Rumel miał kilka pseudonimów) przystanął „No, to teraz złożysz zaprzysiężenie - powtarzaj!” Byłam bardzo wzruszona, drżącym głosem powtarzałam słowa przysięgi - stałam się od tej chwili żołnierzem walczącym na bardzo małym i skromnym odcinku Wielkiej Sprawy.

Na terenie Wołynia i Polesia działały partyzantki rosyjskie. Zagrożeni ludzie, prześladowani albo Żydzi ukrywający się, często starali się dotrzeć do obozowiska partyzantki, szukając schronienia. Naszym zadaniem było stworzyć sieć, broniącą młodzież wiejską przed wpływami komunistów. To były zaczątki samoobrony.

Zewsząd otaczani byliśmy przez wrogów - Niemcy, Ukraińcy i Sowieci z partyzantki rzekomo pomocnej, rzekomo sprzyjającej,

Zygmunt Rumel recytował swoje wiersze. Jakże mi one były bliskie. Tak samo jak on kochałam przyrodę wołyńską i poleską. Tak samo jak on kochałam lud wołyński. Najpiękniejsze wakacje przed wojną spędzałam w wioskach ukraińskich, chłonełam tamtejszy folklor, byłam zauroczona ich pieśniami. Bliskie mi były drewniane chaty kryte słomą, i swoisty zapach wokół gospodarstwa: snopki lnu i konopi dosuszane pod ścianami, zapach mięty mieszał się z ostrą wonią obór. Od pól i łąk płynęły wonie, których nie da się opisać, ale które nawet po pół wieku trwają, żyją we mnie. Nigdzie, w żadnej części Polski takich woni nie uświadczysz się. Po wojnie żona Zygmunta z wielkimi trudnościami i niechęcią cenzury wydała wiersze męża - Zygmunt Jan Rumel „Poezje”- książeczkę tę posiadam wraz z dedykacją Anny.

Jednym z wymogów konspiracji była tajemnica, którą chroniła nieświadomość. Nie należało zadawać pytań, nie należało znać nazwisk, adresów i innych danych o członkach konspiracji. Należało natomiast być powściągliwym, opanowanym. Taka ścisła konspiracja powodowała, że nawet najbliżsi znajomi, choć byli członkami różnych ogniw między sobą, nie byli pewni, „kto jest, kto”.

Jak już wspomniałam w pierwszych rozdziałach swoich wspomnień, dom rodziców przez okres okupacji niemieckiej był oddany do użytku organizacji. Rodzice godzili się na to bez słowa sprzeciwu, To było takie oczywiste, a przecież wszystkim groziła za to śmierć. Duże kłopoty sprawiała babcia, miała bardzo silną sklerozę. Kiedyś przed wojną jej syn, który od dawna był w Ameryce, od czasu do czasu przysyłał dolary. Babcia nie mogła zrozumieć, że wojna przerwała łączność i ciągle podejrzewała Mamusię że przejmuje dolary składając je na mój posag. Nie pomagały perswazje. Babcia wręcz powiedziała, że doskonale zdaje sobie sprawę że zbyt dużo kręci się w naszym domu obcych mężczyzn, to się musi skończyć i ona wie, gdzie i komu należy to donieść. To było wielkie niebezpieczeństwo. Mieszkaliśmy w ładnej dzielnicy na kolonii oficerskiej; domki willowe w ogrodach.

Na końcu działek z domkami jednorodzinnymi, przed wojną wybudowane zostały trzy bloki dla rodzin wojskowych z nowo utworzonego pułku wojsk pancernych. Tę właśnie dzielnicę

upodobali sobie kolejni zaborcy. Ponieważ właśnie pod latarnią jest najciemniej, jak mówi przysłowie, faktem było, że w dzielnicy był spokój. Ukraińcy nie penetrowali, bo w każdej prawie willi część była zarekwirowana dla Niemców. Nasz dom był niewielki: trzy pokoje, kuchnia, łazienka i pokój na facjatce. Nikt z władzy niemieckiej nie mącił naszego spokoju Niemcy przeważnie przy pomocy ukraińskich „pomocników” aresztowali wielu Polaków. Dopiero po ucieczce w lasy żandarmerii ukraińskiej, i po coraz silniejszych napadach band, nie tylko na Polaków, lecz i na Niemców, ci ostatni łagodniej nas traktowali.

W grudniu 1942 roku przestałam pracować w „Ukraine-Film”, ponieważ wzięłam ślub z Czesławem. Nasz ślub odbył się wbrew rozsądkowi, ale zadziałała tu ogólna psychoza panująca w ówczesnym czasie wśród młodzieży. Nieświadomie czuliśmy lęk przed tym, że nie zdążymy żyć pełnią życia. Tylu młodych zginęło podczas działań wojennych, w czasie wywózki do łagrów na Syberię, tylu ginęło w więzieniach obu zaborców. Takie było niepewne jutro, a myśmy mieli tych 20 lat (i więcej). To wiek, gdzie jest czas na miłość, a nie na śmierć. Kojarzyły się pary zupełnie nie pasujące do siebie, w normalnym czasie nigdy by do tego nie doszło. Jak czas pokazał, były to małżeństwa albo krótkotrwałe albo nieszczęśliwe.

A właściwie powinno być inaczej - przecież to najcięższe chwile przeżywane razem powinny cementować małżeństwa do końca życia. Czesław przyjechał w przeddzień naszego ślubu z leśniczówki w Boblach, swoim koniem i pożyczonymi sankami. Na żadne przyjęcie weselne nie mieliśmy pieniędzy. Uzgodniliśmy, że nasze rodziny i my spotkamy się w katedrze o godzinie siódmej rano. Z księdzem proboszczem Władysławem Bukowińskim wyznaczaliśmy datę ślubu bez ogłaszania zapowiedzi. Tak się wtedy praktykowało, żeby nie wskazywać publicznie młodzieży, którą Niemcy najchętniej wywozili na roboty do Rzeszy.

Standesamt in Luzk
УРЯД ГРОМАДЯНСЬКОГО СТАНУ
в м. Луцьку

Посвідка про шлюб.

Уряд Громадянського Стану в м. Луцьку стверджує, що дня
„ 29 „ Г р у д н я - - - - - 1942 року
громадянин Домбковський Й. Чеслав /першим шлюбом/, - - -
який мешкає в селі Бобли, Турійського району, - - - - -
народжений дня 15 листопада 1918 року - - - - -
в (місцевості) місті Катеринодарі, - - - - -
і громадянка Станьчик Ідвіга /першим шлюбом/, - - - - -
що мешкає в м. Луцьку, по вул. Льотничій № 8, - - - - -
народжена дня 12 травня 1920 року - - - - -
в (місцевості) місті Пудерех, - - - - -
перед Урядом Громадянського Стану в Луцьку **увійшли між собою
в шлюбний зв'язок.**

Батьки одружених: Батько чоловіка Домбковський Геронім, - - - - -
Мати „ Домбковська Францішка, з дому Сіга, - - - - -
Батько жінки Станьчик Валентин, - - - - -
Мати „ Станьчик Юліана, з дому Янішек. - - - - -

Від дати шлюбу одружена прибирає прізвище свого чоловіка.
Подружжя їх записано в реєстрі шлюбів за 1942 рік під № 60

Зауваги: - - - - -
- - - - -

М. Луцьк, дня „ 29 „ Г р у д н я 1942 р.

КЕРІВНИК
Уряду Громадянського Стану
А. Давидович

Окружна Друкарня в Луцьку. Зам. 1657-42.

Fot. XIV- Łuck 1942 - Świadectwo ślubu Jadwigi Stańczyk i Czesława Dąbkowskiego

Ksiądz proboszcz Władysław Bukowiński (1904 - 1974), od roku 1936 był kapłanem w Łucku. Słynął z przepięknych, patriotycznych kazań. Po wkroczeniu Sowietów, od 17 września 1939 roku, ciągle był inwigilowany przez NKWD. Od sierpnia 1940 roku do wkroczenia Niemców do Łucka tj. do 26 czerwca 1941 roku, przebywał w więzieniu.

Na kilka godzin przed wkroczeniem Niemców, NKWD zrobiło generalny pogrom więźniów. Uwięzionymi byli Polacy, Ukraińcy, Żydzi i Rosjanie tzw. „biali”, którzy pozostali w Polsce po 1920 roku. Więźniów było około trzy tysiące. Rozstrzelani byli w celach i na dziedzińcu więzienia.

Po ucieczce Sowietów, miejscowa ludność przybiegła pod wiezienie chcąc uwolnić uwięzionych - zastali stosy trupów. Zaczęto poszukiwania swoich krewnych. Pod ciałami zabitych odnaleziono rannego w głowę ks. Bukowińskiego.

Niemcy uszanowali księdza, nawet przez jakiś czas faworyzowali Go, chcąc pokazać, że są lepsi od Sowietów. Przez długi czas ksiądz, chodził z zabandażowaną głową. Wygłaszał na nabożeństwach pokrępiające kazania, które i Niemcom się nie podobały. Jednak nie aresztowano naszego proboszcza.

Natomiast w styczniu 1945 roku Sowietzi wywieźli naszego duszpasterza wraz z ks. Biskupem Szelażkiem, moim katechetą, ks. Kanonikiem Karolem Gałęzowskim i innymi duchownymi do więzienia w Kijowie, a stamtąd do Kazachstanu. Po dziesięciu latach więzienia został zesłany do Karagandy, gdzie z wielkimi utrudnieniami pełnił swoją misję duszpasterską.

W 1955 roku władze sowieckie zaproponowały księdzu Bukowińskiemu repatriację do Polski, Odmówił, nie chciał porzucać swoich parafian, pozostał w Karagandzie. Ciągle przepędzany, poniżany przez władze - potajemnie pełnił swoją posługę. Wielki Człowiek! Ten właśnie ksiądz udzielał nam ślubu.

Po ślubie, pożegnawszy się z najbliższymi - wyjechaliśmy do Bobeł sankami. Na szosie było mało śniegu, mieliśmy niewielki bagaż, ale i tak dla konia było to zbyt duże obciążenie, toteż szliśmy pieszo obok sanek.

Dopiero wieczorem zaczął padać gęsty, mokry śnieg. Nocować mieliśmy w gajówce, aby dać wypoczynek sobie i koniowi. Sanki byty pożyczone od gajowego. Nazajutrz o świcie mieliśmy zaprzęgać konia do naszego wozu - a tu napadało śniegu po pachy. Wichura i zamieć! Pojechaliśmy grzęznąc w lepkim śniegu. Jechaliśmy cały dzień. Było bardzo zimno. Koń od wysiłku „parował”. Usnęliśmy ze zmęczenia. Nie wiem jak długo to trwało. Po obudzeniu się zobaczyliśmy, że koń śpi, a dyszel wozu utknął w jakimś parkanie.

Nad ranem dotarliśmy na miejsce. Było to 17 lutego 1943 roku. Dom, w którym mieliśmy tymczasowo zamieszkać stał na rozstaju dróg, na końcu wsi. Mieszkali w nim państwo Dudulewiczowie. Oboje od 11 lat pracujący w miejscowej szkole. Byli zżyci z ludźmi ze wsi. Najbliższe domostwo należało do wdowca Polaka, mającego dwoje dzieci - zmarła żona była Ukrainką. Cała wieś była zamieszкана przez Ukraińców.

Biuro - kancelaria leśnictwa mieściło się we wsi, w wynajętej izbie. Miało to charakter tymczasowy, ponieważ z drugiej strony wsi, za małym laskiem stała leśniczówka, w której robiony był remont. Tam mieliśmy się przeprowadzić. Jakże nierozważne było w tamtych czasach oddalać się od rodziny i z ufnością pakować się w żywiol ukraiński. Mąż codziennie wychodził do pracy, a rano siostra tak zwanego „objazdowego” przynosiła mleko, śmietanę a nawet chleb. Gajowi też zasilali naszą spizarkę. Zapłata w karbowanach właściwie się nie liczyła. Jednak starym ukraińskim zwyczajem wspomagali nas chłopci. Raz byliśmy

zaproszeni do rodziny gajowego. Przysłali po nas sanie. Mąż powiedział, żebym wzięła coś do jedzenia.

- Jak to, przecież jedziemy w gościnę, dlaczego mam brać chleb?

- Zobaczysz.

Wyjechaliśmy do lasu, Nagle zobaczyłam za drzewami snujące się postacie, było ich kilka. Mąż wziął zawiniątko z chlebem i niepostrzeżenie rzucił za samami. Dał mi znać palcem, abym nie pytała i nic nie mówiła. To byli Żydzi. O, Boże jak oni tu w chłodzie mają żyć? Przypomniałam sobie biednego pana Sternbauma - ci żyli dłużej, ale jak długo jeszcze? Nie wiedziałam jeszcze, że za niecałe dwa miesiące nasz los będzie podobny.

Przyjechaliśmy do gajowego. W izbie stał długi stół, za stołem przy ścianie ława. Było już kilku mężczyzn. Posadzili nas w środku. Kobiety przewijały się w kuchni. Gajowa po pewnym czasie postawiła na stole wielką michę jajecznicy ze skwarkami i tłuszczem, drugą michę z chlebem. Widelce aluminiowe leżały tylko przy naszych talerzach, pozostali posługiwali się łyżkami. Ale przed jedzeniem gajowy z flaszką samogonu i jedynym kieliszkiem częstował po kolei każdego z gości. Nigdy nie widziałam ani nie piłam samogonu, ale gospodarz zmusił mnie do wypicia „czarki”, ponieważ nikt nie chciał pić beze mnie. Mocne to było i niesmaczne, oczywiście zakręciło mi się w głowie, Na szczęście już następnych kolejek nie piłam. Kobiety nie uczestniczyły w biesiadzie, jedynie po niej przyszły do izby i zaczęto śpiewać. Jakie było ich zdziwienie, gdy i ja przyłączyłam się do niektórych znanych mi piosenek.

„Panie, wy macie żinku Ukrainku?”

W dwa tygodnie po naszym przybyciu do Bobeł zjawił się niespodziewany gość - Przyjechał jakąś przygodną furmanką Zygmunt Rumel.

- Widzisz, martwiłaś się, że po zamążpójściu wypadniesz z działalności konspiracyjnej. I mnie i innym przyda się twój dom, jako etap na naszych trasach. Na jego zamówienie zrobiłam lane kluski na mleku - ulubiony specjał. Długo nie rozmawialiśmy, był bardzo zmęczony. Mógł przespać się jedynie dwie godziny i dalej w drogę. Taki jego los.

Następnymi gośćmi byli: Kola, przyjaciel Zygmunta - nazwiska nie pamiętam. Ukrainiec należący do naszej organizacji, i pan Stanisław Wójciec ze swoją siostrzenicą, narzeczoną Koli. Lecz niestety i inni goście się zjawili. Mąż był w domu. Na podwórko wjechali na rowerach, z umieszczonymi przy ramie karabinami, Ukraińcy. Było ich jedenastu. Kilku weszło do mieszkania. Jeden z nich, prowodyr, zwrócił się do męża po imieniu; „Czesław, przyszliśmy zobaczyć twoją żonę i twojego konia. Żinku charozu majesz, kiń tożę krasnyj, pamiętaj szto my jak budu nam treba prijdemo po kinia a może i po żinku”. Zbliżył się do mnie i zaczął głaskać po twarzy. Mąż stojący za mną wstrzymywał się od nieopatrzego ruchu. Ja chcąc ratować sytuację lekko się odsunęłam i zaśmiałam: „O, to ja jestem w cenie konia? Skąd się znacie?”, Ukraińca trochę zaskoczyło to, że ich wtargnięcie nie wywołało w nas strachu. Strach był, ale staraliśmy się nie dać znać tego po sobie. Prowodyr jeszcze raz zapowiedział przybycie po konia zakazał jego sprzedaży. A żonę lepiej odwieźć do mamusi - zarechotał i wszyscy wyszli. Byliśmy bardzo wzburzeni. Okazało się, że ów typ był kolegą męża w szkole handlowej, Był synem popa. Byli jeszcze inni „goście”, ale przejazdem.

Przed tym jednak pewnej nocy splądrowano kancelarię leśnictwa. Spalono wszystkie dokumenty. Do naszego domu przestała przychodzić siostra gajowego z żywnością. Chyłkiem po zmierzchu jeden z gajowych przyszedł do męża na poufną rozmowę.

- Pane, wtikajcie a to budut ryzaty . Ja was odwezwu.

Mąż starał się utwierdzić gajowego, że nie może porzucić służby;

- Pane, to nasz lis. nichto ne bude naszemu lisi praciuwaty, tolko my. Wtikajte, ja was proszu, żałko żinki, wtikajte.

Mąż podziękował za uprzedzenie i powiedział że się namyśli. Nie mieliśmy już żadnych produktów żywnościowych. Na spółkę z panią Dudulewicz przypiekałyśmy na płycie placki z jej zapasów kartofli. Postanowiłam pójść na wieś, aby coś kupić, zamienić na jedzenie. Zachodziłam kolejno do kilku chat zastawałam wszędzie drzwi zamknięte. Wreszcie na przyzbie jednego domostwa zobaczyłam kobietą łuskającą fasolą. Prosiłam, aby mi jej sprzedała, stanowczo odmówiła. Boże, jakże mi było przykro, gdzie podziała się ta tylko im Ukraińcom znana cecha gościnności? Przed wojną wędrując podczas wakacji przez wioski swego ukochanego Wołynia, mogłam wejść do każdej chaty a prosząc o wodę - dostawałam mleko, nikt nie czekał na zapłatę. Upokorzona wracałam z niczym do domu.

Zrobiliśmy naradę z państwem Dudulewiczami. Oni twierdzili, że trzeba abyśmy wyjechali, bo sytuacja robi się nieznośna. Zaufani chłopci im radzili, aby nas się pozbyli. Nagle powstał jakiś ruch na drodze. Spieszyli nią starzy i młodzi z tobołami, niektórzy ciągnęli krowy na sznurach. Co się stało? Wszyscy uciekali do lasu, zostali powiadomieni przez swoje „czujki”, że Ukraińcy służący w żandarmerii uciekli wraz z bronią do lasu, odmawiali dalszej współpracy z Niemcami. Teraz spodziewali się dalszego odwetu na ludności wiejskiej. Nasłuchiowano czy nie jadą auta na pacyfikację.

Postanowiliśmy też uciec do lasu. Las był liściasty, a więc o tej porze roku jeszcze goły, bezlistny. Chciałam dołączyć do grupki ludzi, ale mąż pociągnął mnie w odwrotnym kierunku - tak będzie bezpieczniej - przecież nie możemy niczego dobrego spodziewać się od tych ludzi. Nawet postanowiliśmy, że będziemy w pewnym oddaleniu od państwa Dudulewiczów, Może ktoś z nas ocaleje. Nie czułam strachu, czułam odrętwienie. Po kilku godzinach zaczęliśmy wszyscy powracać do domów. Przez głowę przebiegła myśl; może teraz, gdy Ukraińcy sprzeniewierzyli się Niemcom, zaczną szukać wspólnego języka z nami. To było tylko „chcenie”.

Zygmunt Rumel też ciągle miał nadzieję, że nienawiść i błędna ocena tzw. „przyjaciół” miną, że znowu nie będziemy występować przeciw sobie. Nawiazywał kontakty, wyszukiwał wszelkie możliwe drogi, aby nawiązać kontakt ze sztabem banderowców. To go zgubiło. Kilka miesięcy później jadąc na zaplanowane spotkanie wraz ze swoim adiutantem Krzysztofem zostali w bestialski sposób posiekani, poćwiartowani...Było to 10 lipca 1943 roku.

Dom, w którym mieszkaliśmy stał na skrzyżowaniu dróg, I teraz noc w noc ciągnęły tędy całe masy furmanek, wozów naładowanych po brzegi (prawdopodobnie była to broń i żywność). Kierowały się w stronę lasu. Dochodziły wieści, że w lasach robione są bunkry podziemne. Do lasu również zdążali Ukraińcy. Wioska wyludniła się z mężczyzn prawie zupełnie.

Po raz wtóry gajowy ostrzegł męża, że już teraz nie będzie mógł pomóc nam w wyjeździe do Łucka, mamy wyrok na siebie. Z rana przybiegł zdyszany chłopak z wiadomością, że w Radowiczach bandyci ukraińscy w okrutny sposób, przywiązawszy sznurami do koni., popędzając wlekli po grudzie ojca wraz z dwoma synami, aż do utraty ich życia. Byli to Leśniewscy, pracownicy nieistniejącego już leśnictwa, którego leśniczym był mój mąż. Fakt ten zaważył na natychmiastowym opuszczeniu Bobeł, Niestety tak natychmiastowo nie udało się tego przeprowadzić. Zorientowaliśmy się, że dotychczas Ukraińcy mordowali tylko mężczyzn. Mąż wraz z panem Dudulewiczem nocowali po prostu na polu, z dala od domu. My z panią Dudulewiczową i dziećmi zostałyśmy w domu. O spaniu nie było mowy, bo turkot wozów przerażał - każdej chwili mogli się zatrzymać i wtargnąć do nas.

Faktycznie, w pewnej chwili wozy się zatrzymały. Strasznie bałyśmy się. Gdy po jakimś czasie znów ruszyły postanowiłyśmy tę noc, o ile ten dzień przeżyjemy, spędzić u miejscowego popa. Mąż przychodził nad ranem, już po przyjeździe furmanek zdążających na punkt koncentracyjny, bardzo zziębnięty. Umówiliśmy się po kryjomu z bliskim sąsiadem, wdowcem po Ukraince, że razem z nim pojedziemy do Kowla. Sprzęgniemy się z jego kobyłką i jego wozem - nasz koń zostanie tymczasowo w Kowlu, my zaś bodziemy się starać koleją powrócić do Łucka, Kobyłka była mała i żrebna, właścicielowi jej bardzo zależało, aby zdążyć przed oźrebianiem pojechać do Kowla po odbiór obuwia dla dzieci. Mieliliśmy wyruszyć skoro świt. W małej stajence, do której wieczorem został przyciągnięty wóz zapakowaliśmy swoje skromne rzeczy. Na polach jeszcze gdzieś niegdzie leżał śnieg, ale drogi i szosa były suche. Raniutko byliśmy gotowi, została przyprowadzona kobyłka i w chwili kiedy starano się ją zaprzęgnąć do wozu, zerwał się szalony wiatr tworząc trąbę wzbijanego w górę piachu. Kobyłka się zaparła, stuliła uszy i zaczęła szaleć, wierzgać, prychać. Chłop powiedział, że wobec tego nie może jechać, boi się o konia. Prosiłam, aby nas nie zostawiał w takiej sytuacji, żeby zdecydował się jechać, jak się nieco uspokoi. Kategoriecznie odmówił. Wyjazd był tylko aktualny wczesnym rankiem, aby kobyłka mogła pokonać trasę tam i z powrotem, po odpowiednim odpoczynku w Kowlu. Byłam przeświadczona, że to nasz koniec...

Wieczorem chyłkiem udaliśmy się do popa. Bardzo niechętnie otworzył nam drzwi. Pop się nie pokazał przez cały wieczór. Popadnia prosiła nas żebyśmy usiedli. Nasi mężczyźni wyszli znowu nocować gdzieś w miedzy. My zostałyśmy do świtu siedząc przy stole. Dzieci ułożyłyśmy na ławach. Sytuacja była niezręczna. Nikt nas nie zapraszał, ani też nie wyrzucał. To było bardzo upokarzające. Jeszcze było ciemno, zeszliśmy się w domu. Jakaż była radość, gdy zobaczyłam prowadzoną kobyłkę. Tym razem udało się, wyruszyliśmy w niewiadomą drogę, Nasi sąsiedzi zostali przeświadczeni, że ich nic złego nie spotka ze strony Ukraińców, przecież byli ze sobą przez 11 lat życia. Jednak po niespełna miesiącu musieli w ostatniej chwili uciekać, każde z osobna. Przeżyli straszne trudy. Spotkali się u nas w domu.

Przed naszą ucieczką mąż poprzez pana Dudulewicza i właściciela kobyłki rozgłaszał, że żona jedzie do rodziców, on zaś jedzie na odprawę do nadleśnictwa w Turzysku, W domu zostawiliśmy nawet firanki w oknach, aby upożorować chęć powrotu. Tylko zdążyliśmy wyjechać poza wieś dogonił nas i przegonił człowiek jadący pustym wozem drabiniastym. Nie pozdrowił nas jak to w zwyczaju na wsi kiedyś było. Utrzymywał ciągle jednakowy dystans między nami. W pewnej chwili nasz woźnica zauważył coś niepokojącego w przednim kole. Zsiadł.

- Panie, nie pojedziemy, bo koło się rozwała.

- Boże, co robić? -

Najczarniejsze myśli krążyły po głowie.

- Tam w bok na lewo jakieś dwa kilometry mieszka mój kum, ale czy ma takie koło? Czy będzie pasowało? Sam nie przyniosę, musicie pomóc. A więc idźcie, ja zostanę przy koniach. I tak będzie, jak sądzono.

Dlaczego taki zbieg niesprzyjających okoliczności? Poszli polem na przełaj. Zostałam cała ścierpnięta ze strachu, a wozak jadący przed nami zatrzymał swój wóz na odległości 40-50 metrów. Zszedł z wozu, oparł się o drabinki i czekał. A więc wiadomo miał nas na oku. Co robi? W dali w lesie padło kilka strzałów, znowu cisza. Chciałam zejść z wozu, pochodzić, rozprostować zmarznięte nogi, ale wstrzymałam się z tym. Pomyślałam, że ten fakt może wykorzystać „anioł stróż”. Nie wiem jak długo czekałam, wydawało się to całymi wiekami. Wreszcie ich zobaczyłam, na drągu nieśli koło. Czy będzie pasowało? Od tego zależy nasze życie. Chłop eskortujący nas wsiadł na wóz i jednocześnie ruszył z nami. Ciągle w tej samej odległości. Nagle drogą przecinającą naszą szosę popędziła bryczka, woźnicą okazał się ksiądz. To była ucieczka w popłochu. Jakaż tragedia była skutkiem tej ucieczki?

Zbliżaliśmy się do drogi wiodącej do nadleśnictwa w Turzysku. Już z dala widać było zabudowania. Z mężem planowaliśmy pozorować jak najczulsze pożegnanie. „Anioł stróż” zatrzymał się. Niepewność czy pojedzie za mną, czy za mężem? Odjechałam dopiero wtedy, gdy mąż znajdował się blisko nadleśnictwa. Miałam jechać z naszym gospodarzem do jego krewnych i tam miałam czekać na męża, który miał w nocy odnaleźć dom w którym się zatrzymałam, A przecież w mieście obowiązywała godzina policyjna, a w lasach pełno było zasadzek ukraińskich, W napięciu przeszło znowu kilka godzin. Właściciel kobyłki zostawił naszego konia pod opieką kuzyna i po załatwieniu swoich spraw ruszył w powrotną drogę.

Ale powrócę jeszcze do momentu naszego dojazdu do Kowla. „Anioł stróż” zatrzymał się przy wjeździe do miasta, z ponurą miną patrzył, jak przejeżdżamy koło niego, nagle trzasnął z bicia, zawrócił i pojechał z powrotem. A więc przekonał się, że dotarłam do miasta i pewnie myślał, że z mężem rozprawią się jak planowali.

W domostwie, w którym się znalazłam, urządzono jakąś rodzinną uroczystość. Zaproszono mnie do jadalni, gdzie było mnóstwo gości, ale ja byłam taka zmartwiona, myślami krążyłam wokół swojego męża. Modliłam się o szczęśliwy powrót. Nie mogłam znieść beztróskiego towarzystwa, byłam taka zmęczona. Gospodyni zaprowadziła mnie do sypialni i powiedziała, że mogę tu spać bo do rana nikt nie będzie korzystał z łóżek. Nie mogłam zasnąć...Wreszcie nad ranem zjawił się Czesław. Tych 15 kilometrów to była katorgia. Ale się udało.

Następnego dnia udaliśmy się do kolejarza polecanego przez naszego gospodarza. Nie można było jechać oficjalnie pociągiem. Kolejarz poradził, aby przejść skoro świt na daleki tor (dokładnie nam to wytłumaczył), i wsiąść do pociągu, a ściślej do jego odkrytego wagonu. Przed lokomotywą umieszczona była lora pełna piachu, taka sama znajdowała się za lokomotywą. Pociąg ten sprawdzał tory, ponieważ w nocy na tej linii często, w zasadzie co kilka dni, wysadzone były pociągi przez różnej „maści” partyzantów. Robili to i Polacy i Rosjanie, i Ukraińcy- zależy na jakim odcinku kto był gospodarzem. Dostaliśmy się do pociągu. Uprzedzono nas, aby się nie wychylać, nie dawać znaku życia. Usiedliśmy w wagonie, którego podłoga była ażurowa. Było to bardzo niemile przy szybkiej jeździe. Migotanie pod nogami szybko uciekających podkładów przyprawiało o zawrót głowy. Zaczęliśmy przez dziury patrzeć na okolice., W pewnym miejscu na skraju lasu, tuż za nasypem kolejowym, zobaczyliśmy ośmiu wisielców powieszonych w samej bieliźnie. Po przeciwległej stronie torów było kilka wywróconych wagonów kolejowych- a więc wisielcy byli odwetem za dywersję. Jakież było nasze przerażenie, gdy po kilku kilometrach obraz wywróconych wagonów i wiszących ludzi się powtórzył. Pociąg stawał, czasem długo czekał, aż wreszcie wieczorem, tuż po zachodzie słońca, zatrzymaliśmy się w Kiwercach, I dopiero tu zobaczyliśmy dookoła na horyzoncie łuny pożarów. Paliły się wioski i osiedla polskie, to hulali „bohaterowie” ukraińscy. A w Kiwercach pełno ludzi z tobołami, pierzynami ciągnęło na dworzec kolejowy otoczony bunkrami dla załogi niemieckiej. Szukali ochrony u Niemców- co za paradoksalna sytuacja. Pytaliśmy ludzi, czy załoga niemiecka dworca potrafi zapewnić ochroną tyłu uciekinierom. Nie wierzyli w to, lecz nie było innego wyjścia.

Postanowiliśmy jednak wydostać się z Kiwerc. Te dwadzieścia kilometrów pójdziemy nawet pieszo. Trasę doskonale znaleźmy z przedwojennych wycieczek. Ale co nas czeka po drodze? Wyszliśmy poza miasteczko na szosą prowadzącą do Łucka, Za nami dało się słyszeć odgłos jadącej furmanki. Stanęliśmy zatrzymując woźnicę, nie wiedząc jakiej jest narodowości. Był to Czech, który wracał po odwiezieniu kontyngentu zbożowego, W drodze do Łucka na prawo od szosy leżała wioska czeska - to już tylko trzy kilometry od Łucka. Czech nie chciał nas zabrać, powiedział że gdyby ci z bandy przyłapali nas na jego wozie to byłoby równoznaczne z wydaniem wyroku na niego, Chłopak był młody, dobry, współczujący

i na moje prośby zdecydował, że mamy się położyć na dnie wozu a on nas przykryje snopkami słomy, Tak też zrobiliśmy. Było już zupełnie ciemno, gdy pożegnaliśmy Czecha. Wreszcie dotarliśmy do pierwszych zabudowań miasta. Niebo było zaróżowione łunami pożarów. Grobową ciszę przerwał odgłos butów żandarmerii. Nie zdążyliśmy uskoczyć gdzieś w bok, przylgnąć do jakiegoś muru.

- Halt, bitte Ausweis - zaświecili latarką w oczy- co robicie o tej porze?

- Uciekamy od band ukraińskich. Mamy już za sobą 70 kilometrów. Idziemy do swojej rodziny.

A gdzie mieszkacie?

Wy tłumaczyłam. Niemcy coś poszeptali między sobą i zdecydowali, że dla naszego dobra, abyśmy nie wpadli na bardziej rygorystyczny patrol, odprowadzą nas. Wypytywali nas o przeżycia, sami powiedzieli, że Ukraińcy walczą z nimi i chcąc przejechać z miasta do miasta muszą grupować się w kolumny. Niespotykana uprzejmość - oni tak samo dostawali ciągi jak i my. Nie dość, że na froncie byli w odwrocie, to jeszcze Ukraińcy tak ich oszukali.

W domu nikt nie spodziewał się naszego powrotu i to w nocy. Mamusia, mimo strasznych wieści podświadomie czuła, że nic mi się nie stało, Pierwszym moim zdaniem było: „Ja chyba jestem w ciąży”.

W domu było trudno znaleźć jakiś wolny kąt do spania. Były u nas dwie rodziny uciekinierów z Antonówki i państwo Haberowie z „kuzynką”-przechowywaną Żydówką. Jadło się z jednego wspólnego kotła. Ciągłe ktoś przychodził z coraz gorszymi wiadomościami, Dyrekcja Lasów zatrudniała nadal męża, ale już nie w terenie lecz w biurze. Często miał wyjeżdżać służbowo do Kowla. Podczas jednego z wyjazdów był zakwaterowany w domku należącym do mojej bratowej (żony Lucjana) i przypadkowo dowiedział się o naszych rodzinnych więzach. Bardzo chciałam odwiedzić bratową, i jej córkę Danusię. Wybrałam się więc z mężem znowu w podróż do Kowla. Chciałam jednocześnie przywieźć część rzeczy pozostawionych tam podczas naszej ucieczki z Bobeł. Do Kowla mogliśmy się dostać tylko przez Kiwerce, Już nie pamiętani jak tam się dostaliśmy. W każdym razie w Kiwercach po kryjomu weszliśmy do towarowych, odkrytych wagonów. Oczywiście jak zawsze pomagali nam w tym polscy kolejarze. Pociąg ruszył i po drodze widzieliśmy bunkry ochronne przy każdym moście i w innych punktach trasy. Pociąg miał jechać bez zatrzymywania się do samego Kowla. A jednak w pewnym momencie stanął. Wzdłuż wagonów biegło trzech Bahnschutzów z bronią w rękę i krzyżąc kazali wysiadać z wagonów. Wahaliśmy się czy usłuchać tego rozkazu. Jednak zdecydowaliśmy się wysiąść. Ze zdziwieniem spostrzegliśmy, że na peronie było około 25 takich „dzikich” pasażerów. Nie byliśmy jedynymi. Niemcy byli bardzo wzburzeni, kazali zgłosić się komuś, kto zna niemiecki. Jedna z pań podjęła się tłumaczenia. Przed tym jednak Niemcy kazali nam się rozdzielić. Ostatni uścisk dłoni i wielka niepewność.

- Kto strzelał do załogi niemieckiej z tego pociągu? Na trasie ostrzelane zostały dwa bunkry przy mostach. Jeżeli nikt się dobrowolnie nie przyzna wszyscy mężczyźni jako zakładnicy zostaną rozstrzelani.

Jęk i płacz. Kilka kobiet zwróciło się do Niemców, aby zrobili rewizje i przekonali się, że nikt z nas broni nie ma. Niektórzy z nas proponowali zbiórkę czegoś wartościowego dla przekupienia Niemców, Milczenie przeciągało się. Jeden z Niemców kazał odjechać maszyniście. To było straszne, ogarnęła nas cisza. Mała stacyjka, dookoła lasy, a w nich wszechobecna banda zbrodniarzy. Naprzeciw nas też wróg.

Niemiec coraz bardziej się niecierpliwił, dał jeszcze pięć minut do namysłu, Z grona struchlałych kobiet wyszła jedna, za rękę ciągnęła dwunastoletniego chłopca i kazała mu

powiedzieć jak to było. Na lorze, którą oni jechali była załadowana surówka jakiegoś ciężkiego metalu. Niemcy transportowali to z terenów ZSRR do swoich hut. Chłopcy postanowili przysłużyć się sprawie walki z okupantem i zubożyć zasoby tak cennego surowca. Zaczęli po prostu wyrzucać za burtę kawały surówki. Traf chciał, że kilka ciężkich odłamów spadło na bunkry przy moście, raniąc dwóch żołnierzy. Kobieta błagała, aby kierownik stacji telefonicznie zapytał, czy zranieni zostali kulami czy tylko odłamkami. Przecież nie było w tym całym zajściu zaplanowanego ataku na Niemców. Niemcy połączyli się przy pomocy telefonu polowego z bunkrem. Trzymali nas cały czas na muszce. Wreszcie poinformowali nas, że faktycznie były to kamienie a rany nie są groźne, więc nam darują. Ale co my teraz mieliśmy zrobić bez pociągu? Po składce na Niemców jedna z nas poprosiła ich aby zatrzymali dla nas jakiś pociąg jadący do Kowla. Żadnych pociągów dzisiaj już nie będzie, O zmierzchu ma jechać tylko lokomotywa kontrolna (rodzaj patrolu na torach). Już się ściemniało, zaczął padać drobny deszcz. Rzeczywiście zbliżała się lokomotywa i stanęła na znak Niemców. Nie wszystkich mogła zabrać, ale i nie wszyscy zdecydowali się na jazdę tym wehikułem. A to dlatego, że lokomotywa była bardziej nowoczesna, niemiecka, cała obudowana wraz ze zbiornikiem na węgiel i na wodę. Miejsce było tylko na wierzchu i to ograniczone zaokrąglonymi brzegami. Jednak my postanowiliśmy jechać, ryzyko było jednakowe. Zostając na stacyjce, w tej głuszy narazić się mogliśmy na atak Ukraińców, albo jadąc lokomotywą w tym gorszym przypadku mogliśmy wylecieć w powietrze na zaminowanym torze. Ale przecież mogliśmy równie dobrze szczęśliwie dojechać. Czas odjazdu. Ścisnęliśmy się robiąc miejsce dla tych, którzy zdecydowali się jechać. Po przejechaniu kilku kilometrów zatrzymaliśmy się. Z kabiny maszynisty wyskoczył chłopak i zawołał: Figa, zejdz z dachu przyjdz na dół, weźmiemy cię do kabiny.

Po porozmawianiu z mężem wysiadłam, chociaż naprawdę nie mogłam poznać po głosie, kto mnie wołał. Przy blasku z paleniska ledwo rozpoznałam rysy (całą twarz była w sadzy) swego kolegi z młodszej klasy. Był synem Inspektora Dyrekcji Lasów Państwowych (przed wojną).

- Widzisz, poznałem cię, lepiej ci tu będzie niż tam na dachu. Opowiedziałam mu o naszej przygodzie.

Nie pamiętam zupełnie w jaki sposób po trzech dniach powróciliśmy. W punkcie kontaktowym dostaliśmy kilka egzemplarzy „gazetki”.

Często, gdy w domu moich rodziców „było zagęszczenie” i nocowaliśmy u rodziny Czesława. Mieli oni mały domek blisko mostu na Styrze, w bocznej uliczce niedaleko głównej szosy w kierunku Krasnego.

Niemcy jakoś opanowali sytuację na drogach i kolei. Ale pożary w okolicy dawały znać, że dla Polaków nastąpiły najkrwawsze dni. Powstawały punkty samoobrony we wsiach, które miały jakieś trwalsze zabudowania - kościoły, pałace, tam, gdzie żyło dużo Polaków. Do takich wiosek uciekali cudem ocaleni z pogromów. Lecz i te wioski niekiedy musiały ulec przewadze napastników.

Moja ciąża rozwijała się. Byłam unieruchomiona. Mąż często kursował między miastem a Przeobrażem, które było największym bastionem samoobrony. Różnymi możliwymi sposobami dostarczało się tam broń kupowaną od Węgrów. Również zapanował wielki ruch na drodze do Antonówki, do której przybywała młodzież z wiosek i Łucka wzmacniając załogę samoobrony.

Niemcy likwidowali swoje zakłady, urzędy i wywozili wszystko co się dało. Front zbliżał się coraz bardziej. W tym tak krytycznym stanie odwrotu coraz bardziej zaostrzał się terror. Doszła do nas wiadomość, że około stu zakładników, rekrutujących się z żołnierzy AK oraz inteligencji przebywającej w więzieniu w Równem, zostało rozstrzelanych. W tej grupie

znalazł się mój ukochany profesor, pan Marian Pisowicz oraz nasz sąsiad dr Wacław Żytyński i wielu innych, Po kilku miesiącach od dnia zamordowania dowiedzieliśmy się o bestialskim mordzie popełnionym przez banderowców na Zygmuncie Rumlu. Żył się w coraz większym napięciu.

Czwartego grudnia urodziłam córeczkę. Ponieważ Mamusia była położną miałam cudowną opiekę. Wojna, nieszczęście dookoła a tu rodzi się nowe życie. Jakże losy nasze nie są od nas zależne.

Kiedyś spotkałam Dankę Wasilenko, z którą razem pracowałam w „Ukraine-Firm”. Niemcy wynieśli się na zachód w popłochu. Co mogli to zabierali ze sobą. Ciekawe są losy naszego szefa Franca Nedomy. Już wspominałam, że on naprawdę, szczerze zakochał się w Dance. Miał wiele nadziei, że teraz gdy wojna dla Niemców tak jednoznacznie chyli się ku klęsce, nadejdą czasy w których wszystko ucichnie. - "Danka, o ile przeżyję pamiętaj wrócę tu do ciebie”.

Na pewno nie mieli wobec siebie tajemnic. W „Ukraine-Film” dyrektorem był Niemiec z Berlina, mający w Reichu żonę i dzieci, był on bardzo zakochany w swojej sekretarce, którą specjalnie sprowadził z Berlina. Była to „rasowa” Niemka. Wysoka, postawna o różowej cerze i pięknych włosach. Patrzyła na „tubylców” z góry, nawet nie odpowiadała na ukłony. Była jeszcze bardzo młoda. Gdy nastąpiły ostatnie już dni ich pobytu w Łucku, młoda Madel była w wysoko zaawansowanej ciąży - chyba w ósmym miesiącu. Dyrektor nie mógł jej pokazać rodzinie, miał natomiast obowiązek zaopiekować się nią i dzieckiem poczętym dla Hitlera. Niemcy każdą ciążę pozamałżeńską szanowali i wręcz zalecali jako obowiązek wobec Heimatu rodzić dzieci w imię Hitlera. Taka dziewczyna była otaczana opieką państwa. A tymczasem państwo rozpadało się.

Na jednej z obiad u Gabietskomisarza urządzono poza plecami Nedomy (on nie był w NSDAP), że mianują go oficjalnie opiekunem na czas uciezki tej właśnie Niemki. Nedoma chciał się sprzeciwić, ale nie mógł odmówić spełnienia rozkazu - miał się ożenić z Madel. Podobno, gdy o tym przymusie opowiadał Dance bardzo płakał. Obiecywał, że jeżeli nie ucieknie po drodze to w każdym razie nie będzie żył w małżeństwie z tą dziewczyną. Danka dała mu adres swojej rodziny gdzieś pod Warszawą. Nie znam dalszych losów Franciszka Nedomy. Bardzo żałuję, że po wojnie mieszkając na Opolszczyźnie nie przyszło mi na myśl, aby odszukać rodzinę Nedomy - wszak mieszkali w Raciborzu. O losach Danki również nic nie wiem. W każdym razie nie było jej w Łucku podczas następnej okupacji sowieckiej.

Z naszego domu wyjechał „Sław Mykita”, czyli Czesław Zadróżny. Dostał się do rodziny w Warszawie i tam zginął w powstaniu przy zdobywaniu „Pasty”. W domu naszym było wielu uciekinierów ze wsi. W moim pokoiku na facjacie mieszkała rodzina z Antonówki. Stary ojciec, matka i dwudziestokilkuletnia córka. W ogrodzie trzymali swój wóz i konia. Czasem jesienią ojciec i córka ryzykowali wyprawę do swego domu po ukryte zapasy, owoce i siano dla konia. Już wszyscy cywilni Niemcy opuścili Łuck. Zostali tylko wojskowi. Na zachód ciągnęły czołgi, pojazdy opancerzone i zwykłe fury zarekwirowane po drodze a wiozące rannych. Niemiecki potwór wracał w popłochu do swej jaskini.



Fot. XV - Łuck - 1943 r. - ul. Lotnicza - dwie rodziny -
 Stańczykowie i Dąbkowscy:
 stoją od lewej: Helena Stańczyk, Anna
 Dąbkowska-Majzel, Alojzy Majzel, Julia Stańczyk, Czesław Dąbkowski,
 Jadwiga Stańczyk-Dąbkowska, Walenty Stańczyk.
 siedzą od lewej: Maria Lysakowska-Knapp, Aleksandra
 Dąbkowska-Salińska, Franciszka Dąbkowska z Jolą Majzel

W tym okresie przebywaliśmy u rodziny Czesława na Krasnem za Styrem, wraz ze swoją małą niespełna dwumiesięczną córeczką. Z Krasnego mężowi łatwiej było robić wypadki do Antonówki, gdzie była koncentracja naszej młodzieży, Część z nich podążała do lasów kowelskich, do partyzantki AK, do 27 Armii. Nie będę opisywać tych spraw, gdyż fachowo relacjonowali te wydarzenia ich uczestnicy. Wspomnę, o swoich ciężkich przeżyciach - związanych z ucieczką Niemców.

Dochodziły pogłoski, że Niemcy pędzą przed sobą napotkaną ludność a mężczyzn wręcz rozstrzelują. Domek teściów stał na wysokiej skarpie, w dole rozpościerały się łąki i kluczył Styr. Pokryte to było śniegiem, Styr częściowo był zamrożony. Po południu nagle zdziwiła nas cisza na ulicy przechodzącej w szosę kowelską, wyszliśmy do ogródka, z którego było widać most. Nie było żadnego ruchu - wtem do mostu zbliżyła się mała taksówka. Dojechała na środek mostu, a po kilku minutach zawróciła i z całą szybkością przejechała przez opustoszałą ulicę. Nagle powietrzem wstrząsnął niesamowity huk. Dom się zatrzęsł. Wyjrzelśmy przez okno. Jeszcze słup dymu unosił się pośrodku mostu. A więc Niemcy wysadzając most na pewien czas powstrzymali pogoń sowieckiej armii. W związku z wysadzeniem mostu nie miałam wolnej drogi do domu. Ze wszystkich zakamarków zaczęli wychodzić ludzie - dochodzili do mostu sprawdzając stan zniszczenia. Niemcy pozostawili sprzęt wojenny, uszkodzone pojazdy, wiele skrzyń z różnego rodzaju amunicją w rowach na poboczu szosy. Nasi mężczyźni zorganizowali zbiórkę wszystkiego, co nadawało się do walki - taszczone to wszystko do siebie znanych miejsc. W budynku dwupiętrowym założono bazę i sztab samoobrony, przewidując napad Ukraińców w tym bezkrólewiu. Na Krasnem mieszkali również Ukraińcy i oni też zaopatrywali się w broń i amunicję. Czasem dochodziło do takich sytuacji, że jedną i tą samą skrzynię ciągnęli w różne strony Polak i Ukrainiec. Wszyscy się śpieszyli, aby przed zmierzchem umocnić pozycję obrony. W domu zostawały tylko przerażone stare kobiety i matki z dziećmi.

Już od połowy grudnia ściągaly jednostki Obwodów AK ze wszystkich stron Wołynia do lasów kowelskich na koncentrację sił zbrojnych Okręgu AK. Częściowo tylko pozostawiono oddziały dla ochrony ludności cywilnej.

Mali chłopcy też pomagali w tym dniu jak mogli, oni to byli czujką najdalej wysuniętą poza miasto i kursowali z wiadomościami. No i rozeszła się wieść, że chyba ze trzysta furmanek ukraińskich zbliża się do Krasnego. Dochodzili do pierwszych zabudowań. Ciemno; nagle zaczęło się palić w kilku miejscach - jednym z zapalonych obiektów było seminarium duchowne. To Ukraińcy oświetlali sobie pole akcji. Zaczęła się strzelanina. Coraz bliżej słychać było nawoływania. Nie mogłam usiedzieć w domu. Bałam się, że tu w pomieszczeniu nie mam żadnych szans na uratowanie, gdyby nasi mężowie nie dali rady zatrzymać bandy. Moja córeczka spała, była idealnym dzieckiem na ten wojenny czas, karmiona piersią nie zwracała uwagi ani na hałasy, ani na zmianę miejsca pobytu. Teściowa modliła się, ale spokój jej i opanowanie wcale nie działały na mnie uspokajająco. Siostra męża, której mąż gdzieś na wojnie zaginął bez wieści, pozostawała z pełną determinacją przy swoim kalekim dziecku. Druga siostra z zawodu pielęgniarka, poszła do zaimprovizowanego szpitalika. Czesław brał udział w obronie. A ja nie mogłam sobie znaleźć miejsca. Ktoś dał znać, że jest coraz ciężiej, że chyba już mordują - strzały też jakby milkły. Nie, Ukraińcy ani nie zgwałcą ani nie zarzną! Zawinęłam Basieńkę w puchowy becik, następnie włożyłam ją w przygotowany już wcześniej worek z baraniej skórki i wyszłam na dwór.

Łuna nad całym Krasnem. Zdecydowałam się zejść ze skarpy i samotnie zbliżyć się do brzegów Styru. Zdawałam sobie sprawę że na tle ośnieżonej łąki jestem widoczna ze skarpy, ale tam na górze mieli poważną sytuację - ważyły się losy. Doszłam do brzegu, kilka metrów od brzegu woda była zamrznięta, lecz dalej czarna toń. Ta toń miała być ostateczną ucieczką od banderowców. Wsłuchiwałam się w odgłosy. Nie czułam zimna, choć nogi po kolana tkwiły w śniegu i buty były przemoczone. Basia spała odurzona powietrzem dochodzącym przez małą szparkę. Nie wiem jak długo to trwało. Ucichło. I we mnie zapanowała cisza, drętwota, żadnych myśli. Łuny przygasaly, chyba zaczynało świtać ale było jeszcze szaro. Trzeba wracać. Skierowałam swe kroki ku skarpie i zobaczyłam sylwetkę Czesława, on zobaczył również mnie. Zbiegł ze skarpy, zabrał ode mnie Basię i poszliśmy do domu. Opowiadał jak przebiegała walka i ze zaraz musi wracać na wyznaczone stanowisko. Tymczasem Ukraińcy są odparci, jaka będzie następna noc? Gdy dochodziliśmy do domu słychać było człapanie konia po ulicy, następnie inny odgłos kroków już po drewnianym moście - to działo się po tamtej stronie Styru. Ciszę przerwało nawoływanie; - Hej, skażyte, gdzie Germańcy, kto strzelał w noczi?

Kilku naszych mężczyzn podbiegło do mostu i na ile to było możliwe zbliżyli się do wyrwy. Okazało się, że jeźdźcem na koniu był ruski partyzant zwiadowca. Określiliśmy naszą sytuację prosząc o pomoc i pytając, jak daleko jest Czerwona Armia, czy druga część Łucka jest już bezpieczna, czy tam również były podchody Ukraińców? Niestety, niezbyt pocieszające wieści: partyzantka ruska jest w pobliżu miasta i przeciera drogi dla regularnej armii, ale nie wiadomo, czy w najbliższym czasie dotrze do miasta. Niepewni są czy Niemcy znowu nie wrócą. Bardzo prosiliśmy o pomoc.

W ciągu dnia obserwowaliśmy coraz większą ilość przybywających nad most partyzantów. Starali się przedostać do nas - bezskutecznie. Jednak gdzieś bokami otaczali miasto zupełnie pozbawione Niemców. W nocy nasze warty czuwały, było spokojnie. Na drugi dzień zaniepokojona losem rodziców i będąc świadomą ich troski o nas, zdecydowanie zapragnęłam udać się do nich. Czesław odprowadził mnie, niósł Basię, sam musiał wracać do dalszej obrony. Styr przechodziliśmy przez drugi, ale mniej uszkodzony most Bema. W domu powitaliśmy się z wielką ulgą.

Pierwsze oddziały Krasnej armii zarekwirowały jeden pokój dla potrzeb wojska. Miała to być taka kwatera do spania dla coraz to nowych oficerów, Bojcy spali na dworze. Na całej naszej Kolonii Oficerskiej we wszystkich domach i willach pełno było władz wojennych.

Pewnej nocy przybyszów nie było, ale za to wtargnęli partyzanci ruscy. Szukali wódki i zachowywali się dość obcesowo. Jakież było zdziwienie, gdy jeden z nich po polsku odezwał się do męża:

- Cześć Czesław! A to traf! Dziwisz się, że jestem w ruskiej partyzantce? Już długo z nimi jestem i jak oni zdziżałem w tych poleskich bagnach. Zaraz im dam znać, żeby stąd poszli. Zresztą i ja muszę iść dalej. Powiedz Czesław, czy masz jakiegoś wroga? Powiedz, załatwimy go bez rozgłosu. Tu zrobił wymowny ruch w poprzek szyi. Ciarki mi przeszły po plecach.

- Wiesz, teraz jest czas na porachunki... no, jak?

Dopiero teraz zdałam sobie sprawę z tego, jak psychika działa na człowieka. A żeby tak się zmienić trzeba naprawdę dużo przeżyć. Był to Staszek Biliński, nasz rówieśnik. Dawniej prosty, serdeczny chłopak dziś mógł być bardzo niebezpieczny dla naszych w lesie. W partyzantce rosyjskiej podporządkowanie musiało być całkowite, teraz oni wraz z armią i na jej usługach tropili „wrogów”. Niemcy Niemcami, ale przecież „Polaczki” i to z AK też odwieczny wróg. Ileż było podstępnych morderstw, zasadzek na nasze leśne oddziały.

Sam jego wygląd przerażał: zwężone, rozbiegane oczy i usta z grymasem okrucieństwa. Nie znam jego losów, daj Boże żeby przeszedł na naszą stronę, żeby mu się udało wyrwać z rąk „czerwońców”...

Kilka dni panowała względna cisza, po której zaczęły latać nad miastem zwiadowcze, niemieckie samoloty, a to zapowiedź bombardowań. Armia niemiecka wracała spod Kowla, zbliżali się prawie do Krasnego. W pobliskim lesie widziało się z daleka sylwetki żołnierzy niemieckich. Obawialiśmy się przechodzenia z rąk do rąk naszego terenu. W takich przypadkach największe są ofiary wśród ludności cywilnej. Trzy tygodnie obstrzałów Łucka ze strony niemieckiej, trzy tygodnie nie było przesilenia. Front utknął w miejscu. Wreszcie Sowietci podciągający siły, wyrównali linię frontu.

Do Łucka zjechał Główny Sztab. Oczywiście kwatermistrzowie przeznaczili naszą dzielnicę dla najwyższego „naczalstwa”. I oto późnym popołudniem zaczęto nas wyrzucać z domów, tak jak stoimy, bez uprzedzenia. Mieliśmy udać się na kilka dni do domów dalej stojących, po prostu na łaskę ludzi podobnie zaskoczonych jak i my. Nie było żadnej dyskusji. Mamusia zatroszczyła się o prowiant, Tatuś z siostrą Heleną nieśli pościel, a ja szykowałam pieluszki i bieliznę dla córki. Żołnierze ponaglali, jakiś oficer dawał słowo czerwoarmisty, że wszystko zastaniemy w należyтым porządku. Oj, znaliśmy już ten honor i słowo...

Mamusia, Tatuś i siostra byli już za furką, ja wyjeżdżałam z korytarza wózeckiem z dzieckiem i tu nastąpiło zderzenie z samym generałem, za którym szła cała świta. Z przerażeniem tłumaczył się oficer generałowi, że mieszkanie nie zostało całkowicie oczyszczone z „Polaczków”. Ale ku zdziwieniu wszystkich generał nachylił się nad Basią (a była naprawdę śliczna: czarne, okrągłe oczka, główka w białej, angorkowej czapeczce zrobiły wrażenie). „Tam gdzie riebionok, tam i szczęście. Pust niech ostajotsa ta mat z riebionkom” - powiedział generał. Jakże mogłam tu zostać bez rodziców? Więc powiedziałam, że muszę iść razem z nimi. No i generał pozwolił zostać wszystkim. To było dla nas bardzo dużo.

W sypialni, naszym największym pokoju, zamontowali radiostację w stołowym był pokój narad. Żołnierze pomogli przenieść łóżka do kuchni i małego pokoiku na poddaszu. Inni

zaczęli kopać w ogródku pod świerkiem schron dla generała - umocnili go belkami, zrobili łąwę. Nie długo trzeba było czekać, aby schron spełnił swe przeznaczenie. Obstrzał artylerii niemieckiej był raczej chaotyczny. Jednak po dwóch dniach dzięki wywiadowi i szpiegom ukraińskim „wymacano” niezwykle ważnych gości. Tu się odbywała narada wielu generałów dowodzących armiami z różnych odcinków frontu. 1 zaczęło się bombardowanie, naloty za nalotami. Ale tak ważne osobistości były osłaniane wzmożoną obroną przeciwlotniczą. To było straszne.

Lecz niemowlak naprawdę przyniósł szczęście i miał specjalne względy u generała. Gdy trzeba było w czasie alarmu schodzić do schronu generał z szarmancją dawał pierwszeństwo mnie z dzieckiem i Mamusi, następnie schodził sam a potem reszta. Jego świta i adiutanci byli zdziwieni i przerażeni, ale musieli słuchać rozkazu. Dom huczał szyframi. Tak żyliśmy sześć dni. Wszystko uspokoiło się po zniknięciu sztabu. Po tygodniu front, a raczej ofensywa ruszyła. Niemcy zostali odparci. Ruska władza znowu zaczęła działać - już się zaczęły aresztowania - oprócz Ukraińców nacjonalistów cele wypełniano Polakami. Znowu zaczęli chodzić po domach z NKWD, Nasi uciekinierzy ze wsi, państwo Czopowie mieli nadzieję, że wkrótce będą mogli powrócić na swoje gospodarstwo, ale to było niemożliwe. Wszelkie próby powrotów Ukraińcy uniemożliwiali nowymi mordami. Rano na wioski wyruszali organizatorzy nowej władzy, nakładając kontyngenty dla wojska a w nocy banderowcy przy „selradach”, wieszali nową władzę i z ukrycia ostrzeliwali mniejsze grupy sowieckie. Czym dalej posuwał się front, tym uporczywiej Sowietci robili czystkę.

W lutym zaczął się pobór do polskiego wojska na mocy nowych układów. W Rosji utworzono Polski Rząd z Wandą Wasilewską, zaczęto werbować. Kto chciał się uchylić od służby w wojsku dowodzonym przez „przebrańców” wręcz oficerów Ruskich, starał się dołączyć do wcześniej wysłanych oddziałów leśnych nad Bug. Ale to było bardzo ryzykowne. Otoczeni przez banderowców, niszczeni przez Niemców, podstępnie wyłapywani przez Sowietów. Nasze tereny zostały po prostu wytrzebione z mężczyzn. Ani obrońców, ani żywicieli. Polacy do wojska, Ukraińcy na wywózkę no i niby równowaga.

Czesław dostał przydział do kawalerii. Jego szwagier do spadochroniarzy. Drugi kuzyn od razu do sztabu wojsk pancernych a potem do informacji (ale ten zasłużył się jeszcze przedwojennym stażem w partii komunistycznej). Odprowadzaliśmy wszystkich poborowych całymi rodzinami. Mieliśmy nadzieję, że zanim ich przeszkolą może wojna się skończy. Zostaliśmy nic mając żadnych jaśniejszych perspektyw. Zaczęłam handlować razem z teściową na rynku. Ona sprzedawała koloryty tj. farbę do tkanin tak potrzebną w czasach, gdy starocie wypłowiące przerabiało się i farbowało. Ja się zorientowałam, że bardzo chodliwym towarem mogłyby być koperty, gdyż ruscy bojcy posyłali listy do rodzin na skrawkach papieru a koperty składali z gazety pisząc adres na marginesach. W domu na strychu miałam duży zapas niedokończonych zeszytów, różnych okładek i dość dużo barwnych bibulek. Więc jednego dnia wyniosłam na targ poskładane koperty sprzedając je, a raczej zamieniając na kawały cukru wysuplane z mieszkań żołnierskich. To był towar bardzo pożądany. Na drugi dzień przygotowałam wraz z Mamusią z tego cukru i z soku z porzeczek cukierki zawijając je w kolorowe papierki. Ten towar miał wielkie powodzenie u chłopek, te zaś ofiarowały za to albo trochę masła, albo jajek a nawet kawałek słoniny. Cieszyłam się bardzo, że i ja mogłam dołożyć się na utrzymanie rodziny. Chodziłam więc na handel z wielką przyjemnością. Kiedyś niespodziewanie zaczął padać deszcz. Nie było gdzie się schronić. Pod jakimś murem stałam obok żydówki wracającej z Rosji, która też coś tam miała na sprzedaż. Czekaliśmy na wypogodzenie chyba z godzinę. Wreszcie znowu zajęliśmy swoje miejsca na ceglach. Ludzie znowu przechodzili koło nas. Rozmawialiśmy ze sobą życzliwie. Ona była już stara i przez wojenny los bardzo skrzywdzona. Zobaczyłam spacerującego żołnierza w polskim mundurze, ale o wybitnie semickim wyglądem. Żołnierz bardzo badawczo mi się przyglądał, aż mnie to zżenowało, Podszedł do mnie i po żydowsku

zaczął rozmowę. Popatrzyłam na niego zdziwiona;

- Ja nie umiem po żydowsku.

Żołnierz popatrzył na mnie ze złością i z pretensją już po polsku zaczął mi robić wymówki.

- Jak można nie chcieć rozmawiać po żydowsku, jak można wstydzić się swojego języka? Tak nas wyniszczyli a my zamiast być dla siebie jak rodzeństwo my się nie szanujemy. To wstyd!

Przeczekaliśmy jego wyrzuty i wreszcie zapytałam:

- Na jakiej podstawie sądzi pan, że jestem Żydówką? Ja naprawdę jestem Polką.

- Niemożliwe, a dlaczego pani z tą starszą panią mogła rozmawiać po żydowsku a ze mną nie?

- Ależ ja z tą panią rozmawiałam po polsku. Proszę ją o to zapytać.

Żydówka siedząca obok potwierdziła moją wypowiedź. Biedny Żyd stał zawstydzony i zaczął mnie bardzo przeproszać.

- A ja taką miałem nadzieję, że pani jest Żydówką pani tak mi się podoba.

- No więc muszą panu powiedzieć, że mam męża też w wojsku a oprócz tego małą córeczkę. Ukłonił mi się, przeprosił i poszedł sobie.

Na targu miałam jeszcze jedno spotkanie. Siedząc obok teściowej i czekając na zainteresowanie moim towarem spostrzegłam znajomą Ukrainkę z Iwańczyc. Podeszła do mnie z pewnym wahaniem, ale nadrabiając miną zapytała jak mi się wiedzie. Czy wszyscy z rodziny są zdrowi (podczas pierwszego pobytu „czerwonych wybawicieli” byliśmy przymusowo wysiedlani na wieś do Iwańczyc Starych okres ten był jednym z najpiękniejszych przeżyć mimo wysiedlenia). Poczytałam to jej zapytanie jako bezczelność. Jak to po tylu krwawych mordach, w których i ta wieś miała udział podczas okupacji niemieckiej, ona może mi patrzeć w oczy, (Jej historia zawarta jest we wspomnieniach z tamtego okresu). Byłam wzburzona. Przed oczami latały mi płaty, jeszcze nic nie mówiłam - Marysia Rachwalska - tak się nazywała- zapytała niewinnym głosem:

- Dlaczego nie przyjedziesz do nas? (bagatela 15 kilometrów), dalibyśmy tobie słoniny, mąki, przecież w mieście ciężko.

Dłużej nie milczałam:

- Marysiu, przecież wiesz gdzie mieszkamy, jak byś chciała coś przynieść to drogę znasz, prawda? Chcesz, abym przyszła do waszej wsi, po co? Abyście mi gardło poderżnęli? Co zrobiliście z waszym sąsiadem, Polakiem Bolkiem, który od 20 lat mieszkał obok was? Czy już szczęśliwi jesteście? Polskie duchy pomordowanych was nie straszą?

Podnosiłam głos coraz wyżej, nie mogłam opanować wzburzenia.

- Ja tak was kochałam...mordercy!!!

Dziewczyna zaczęła się cofać. Uciekła. Moje współtowarzyszki podniosły krzyk, jak z pod ziemi znalazł się żołnierz sowiecki i pytał co się stało, Ta pani rozpoznała banderówkę...

W jednym z listów polowych od męża dostałam wiadomość, że za kilka dni jego jednostka będzie wysłana z Sum w stronę Lublina, lecz nie będą przejeżdżać przez Łuck, ale przez Kiwerce (20 km), i tam będą na popasie dwa dni. Prosi, abym jeżeli to możliwe wybrała się wraz z innymi żonami znajomych ułanów do niego, bo dalej będą jechać na front i nie wiadomo, kiedy się zobaczymy. No i oczywiście wybrałam się z taką samą jak ja. Wyszliśmy o świcie, na szosie zatrzymywałyśmy wojskowe ciężarówki jadące w kierunku Kiwerc. Kierowcy chętnie podwozili, gdy dowiadywali się, w jakim celu chcemy jechać. Czasem wzdychali; och żeby to moja żona mogła przyjechać. Znając proporczyki na kołnierzu munduru ułanów z 3 Pułku nawet nie pytając nikogo można było dojść w pobliże ich pobytu. Dotarliśmy do lasu. Zatrzymali nas patrolujący żołnierze. Byli nawet tak uprzejmi, że zawołali naszych mężów. Ci, właśnie wracali z odprawy, na której zawiadomiono ich, że za pół godziny następuje wymarsz. Nie będzie tych dwóch dni odpoczynku. No cóż, taka dola żołnierska. Mąż martwił się o mój powrót do domu. Było po zachodzie słońca. Nie mogłyśmy

iść same nocą przez las. Zaszliśmy do chaty. Mieszkali tam Ukraińcy, gospodarz zgodził się nas przenocować. Pożegnanie, mąż w swoją drogę my do chaty. Jednak intuicyjnie bałam się zamkniętych pomieszczeń, spytałam czy mogę spać w stodole na słomie. Tam też byli jacyś ludzie, wędrowcy wojennych szlaków.

Towarzyszka moja bez wahania usnęła na ławie, ja wyszłam przed dom. Było ciepło, parno tylko komary gryzły. Gdzieś w oddali słychać było samoloty. Nagle zatrzęsło się wszystko, cały las wypełniały wybuchy bomb. Tam, gdzie niedawno stacjonowali ułani teraz było piekło, Niemcy doskonale byli poinformowani o ruchach i koncentracji wojska. Nikt już nie spał do rana. Ja zawsze wpadałam w tarapaty, z których wychodziłam bez szwanku. Ale zawsze musiałam przeżyć dużo strachu i niepewności.

Jeszcze na wiosnę Niemcy rozrzucali z samolotów prócz bomb ulotki z zapowiedzią, że urządują komunistom gorącego 1 Maja. Bombardowania były coraz rzadsze. Samoloty zrzucały bomby na miejsca koncentracji wojska, na lasy czasem zrzucili kilka bomb jednocześnie zapalając lampiony. To było bardzo deprymujące. Dwa dni przed 1 Maja bombardowanie było nocą. Bałam się strasznie. Zdawało mi się, że w domu jest najbardziej niebezpiecznie. Wychodziliśmy czasem na pola, ale przecież tam nie było warunków dla Basi. Mamusia zawsze mówiła, że powinnam mieć zaufanie do jej przeczuć, a Ona najpewniej czuje się właśnie w domu. Mieszkaliśmy koło lotniska i we wrześniu 1939 roku lotnisko było zryte bombami.

Odlamki z bomb przelatywały przed naszym domem, a u nas nawet żadna szyba z okien nie wyleciała. Mamusia była bardzo delikatna i powiedziałabym „demokratyczna”. Radziła, mówiła swoje zdanie, ale nigdy nie wywierała presji, pozostawiając decyzję każdemu z nas.

Szukałam schronienia choć na kilka nocy żeby się wyspać. Na pobliską wieś nie można było - sami Ukraińcy. Postanowiłyśmy wraz z siostrą udać się na noc do katedry. Do katedry przylegały bloki trzypiętrowe, stare, masywne, które posiadały dwukondygnacyjne lochy. Bloki stały puste od września 1939 roku, splądrowane zostały pomieszczenia należące do księży, bogate biblioteki spalone. Niemcy użytkowali to jako pomieszczenie dla gestapo. Naprzeciw w zamku Lubarta mieściło się więzienie, teraz mieszkali tam uciekinierzy ze spalonych wiosek i mieszkańcy Łucka, którym bomby zniszczyły mieszkania, a na każdą noc zbiegali mieszkańcy Łucka, którzy szukali w lochach schronienia. Koczowali tam ludzie na pierzynach przy świeczkach przez całą dobę. Budynek był w kształcie U. Od głównego wejścia można było udać się na prawo lub lewo. Lochy były olbrzymie, wysokie. Gdy dochodziłyśmy do wejścia był już tłum ludzi. Już było słychać samolot i już spuszczone lampiony oślepiały. Powstał straszny ścisk. Wysoko trzymałam zawiniętą w kocyk córkę, która swoim zwyczajem spała. Siostra trzymała mnie za pasek i w chwili największego ścisku gdy nawet kroku nie można było zrobić samodzielnie, bo tłum napierał, ona mi krzyczała do ucha „ idź na lewo, błagam cię, idź na lewo”. Byłam zła na nią, jak mogła w takiej sytuacji wymagać upatrzonego przez siebie miejsca? Jednak udało mi się wraz z falą ludzi przepchnąć w głąb lewego korytarza. W gmach ten, właśnie w jego prawą stronę uderzyły trzy bomby. Zachwiał się z nami cały świat. Świece zgasły, podmuch detonacji naniósł gęste tumany kurzu i piachu. Słychać było jęki. Nie wiedzieliśmy, czy uderzyło w drzwi, czy będzie można się wydostać. Po pewnym czasie służba przeciwlotnicza zaczęła kierować ludzi do wyjścia. Na placu zatrzymano wszystkich zdolnych do odgruzowywania. Mnie z uwagi na małe dziecko pozwolono odejść do domu. Wracaliśmy z siostrą przerażone ilością ofiar. Tragedia była w tym jeszcze, że budynek był stary, zbudowany z piaskowca, gruz rozsypywał się w proch, utrudniając szybkie wydobywanie zasypanych. Podobno zginęło około 60 ludzi. Ci, którzy uszli spod noży i siekier banderowskich tu właśnie musieli zginąć.

Nieprzewidziane losy ludzkie... Postanowiłyśmy z siostrą, że już nigdzie nie będziemy szukać ratunku.

Nie wiem, czy w tym tłumie w lochach, czy na rynku przeszła na mnie wesz. Zabiłam ją. lecz po dwóch tygodniach za jej właśnie sprawą zachorowałam na tyfus. W pobliżu mieszkał mój starszy kolega z gimnazjum, który do czasu wojny studiował weterynarię, teraz pracował w szpitalu. Poprosiliśmy go o wizytę, stwierdził, że to paratyfus. Mamy nie rozgłaszać o tym, bo zechcą mnie zabrać do szpitala, w którym panują okropne warunki. Nie ma żadnych leków, ludzie leżą w salach i na korytarzach na podłodze. Przepelnienie jest wielkie, bo niedawno musieli przyjąć chorych ze zbombardowanego wojskowego szpitala. Może mnie zaopatrzyć w kilka ampulek glukozy. Mam leżeć. Musiałam przestać karmić moją córeczkę, strasznie bolała mnie głowa, wystąpiła silna gorączka i plamy. Bardzo osłabłam, ale gdy ustąpiła gorączka zaczęły mi wypadać włosy. Byłam łysa, ale zdrowa. Nikogo nie zaraziłam. A gdy były alarmy przeciwlotnicze zawinięta w koc zwlekałam się do schronu generalskiego. Aby nie straszyć ludzi swoją łysą głową przyszyłam do chusteczki pukiel włosów, dzięki czemu zyskałam grzywkę.

Na początku sierpnia do Łucka przyjechało kilka ciężarówek taborowych z pułku ułanów. Dostałam list od Czesława, w którym pisał, że obecnie znajduje się pod Lublinem i niedługo wezmą udział w walkach na froncie. Oczywiście pojechałam. Musieliśmy stanąć w Maciejowie, była noc, nie można było używać świateł na szosie. Stanęliśmy z dala od zabudowań, Wyszliśmy z ciężarówki załadowanej po brzegi, a nasi ułani rozścielili „pałatki” na skraju drogi. To samo uczynili żołnierze rucy, Wystawili oni strażę, więc niby można było spać spokojnie, Ale gdzieś niedaleko huknęły strzały.- Poderwaliśmy się z miejsc, okazało się, że dość dużo wojska nocuje w tym miejscu.

W podróż zabrałam cioteczną siostrę Czesława, chciała też odwiedzić narzeczonego. Obie myślałyśmy, że to może ostatni raz... Gdy dojeżdżaliśmy do Lublina właśnie wszystkie trzy pułki wyruszały na Warszawę. Jednak zdążyłam zamienić z mężem kilka słów. Zdecydowaliśmy, że z Marysią pojedziemy tą samą ciężarówką do Garwolina i tam u ciotki mieszkającej w Leszczynach (na skraju Garwolina), będziemy czekać na ułanów. Autem bodziemy wcześniej niż oni konno.

Faktycznie dotarliśmy do Garwolina wieczorem. W dali dał się słyszeć charakterystyczny chrzęst i tłumiony odgłos ruszających się ludzi. Niby panowała cisza, a jednak pełno było szmerów. To odgłos zakwaterowanego wojska. Gdy wysiedliśmy z auta uderzył nas zapach spalenizny... Tu przed godziną Niemcy zrzucali bomby zapalające. Drzemaliśmy na rozesłanych pałatkach. W nocy odnalazł nas Czesław. Rozkazy się zmieniły. Wojska miały skrócić na Puławy, została odwołana pomoc dla palącej się Warszawy. A żołnierze tak chcieli brać udział w jej wyzwoleniu.

Wtedy to wystąpiła wymiana generała Berlinga na generała Rolę Żymirskiego. Żołnierze bardzo nieprzychylnie komentowali te zmianę dowództwa. A więc znowu mieliśmy bardzo mało czasu na rozmowę. Czesław odwiózł mnie i Marysię do cioci Sygowej. I tu niespodzianka. Byłam już brat jego Mieczysław a także Robert, narzeczoney Marysi. Zupełnie niezaplanowanie miał miejsce zjazd rodzinny. Spędziłyśmy kilka dni u cioci. Z Garwolina widać było czarne dymy płonącej Warszawy – trwało powstanie.

Jechałyśmy do Łucka znowu przez Lublin autostopem; wojskowi kierowcy bardzo życzliwie pomagali przemieszczać się ludności cywilnej, chociaż było to zakazane. W Lublinie kupiłyśmy za otrzymane złotówki pierwszą (dla nas) polską gazetę. Kupiłyśmy kilka egzemplarzy, myśląc o znajomych. Znowu musiałyśmy przeczekać noc. Dostałyśmy się na dworzec, który był bardzo przepelniony. W jednej poczekalni przesiedleńcy z terenów

przyfrontowych leżeli na swoich betach i tłumokach, inni szukali możliwości dojazdu do swojej ukochanej stolicy. Stolicy, której wyzwolenia spodziewali się w najbliższej przyszłości. Istna wędrówka ludów. Tłok i odór spoconych ciał, trudno było tu wytrzymać. Druga poczekalnia oddzielona małym korytarzem, użytkowana była przez wojennych, przeważnie Rosjan. Wszyscy czekali na swój pociąg, choć jechali w różne strony.

Wśród nocy padł rozkaz po rusku:

-Ano, grażdanie pieriechoditie w drugoj sal – toj sal budiet dla wojennych.

I ludzie posłusznie, chociaż mrużąc zaczęli zbierać swe toboły i wyrwane ze snu dzieci. Zaczęli przepychać się przez wąskie drzwi. W drzwiach stało dwóch bojców i jeszcze bardziej utrudniało przejście. No a już szczytem bezczelności było zakładanie na głowy ludziom pałatek z jednoczesnym wrywaniem im bagaży. To była zorganizowana kradzież, to były chlubne działania naszych sprzymierzeńców, to było tak zwane wyzwalanie (ze wszystkiego). To było morale Czerwonej Armii.

Rankiem, oczywiście przy pomocy kolejarzy, dostaliśmy się do pociągu towarowego jadącego przez Jagodzin do Kowla. Do Jagodzina dojechaliśmy bez przeszkód. W Jagodzinie wsiadło do naszego wagonu kilka młodych kobiet i dziewcząt oraz trzech mężczyzn z tobołkami. Z rozmów między nimi dowiedziałyśmy się że jadą do więzienia podać żywność aresztowanym członkom swoich rodzin. W tym czasie władze sowieckie przeprowadzały masowe aresztowania nacjonalistów ukraińskich. Spostrzegłam, że całe to towarzystwo patrzy na nas „z pode łba”, a już z nieukrywaną nienawiścią, po zobaczeniu naszej polskiej gazety. Zaczęto coś szemrać przyciszonym głosem. Mając bolesne doświadczenia związane z działalnością Ukraińców naprawdę zaczęłam się bać. Przecież mogli nas wyrzucić z jadącego pociągu albo udusić.

Pociąg stanął nagle wśród lasu w okolicy zupełnie niezamieszkałej. Myśleliśmy, że to chwilowy postój. Przeraziliśmy się, gdy odczepiono lokomotywę i skierowano ją na inny tor. Wskoczyliśmy z wagonu. Maszynista powiedział, że wraca do Jagodzina bo ma awarię. Wróci do tego składu jutro rano. Nie jego jest winą, że ludzie jeżdżą towarowymi wagonami. Nie byliśmy jedynymi pasażerami. W przednim wagonie jechało około dwunastu rannych żołnierzy rosyjskich, którzy mieli własnym sposobem dostać się do "Rodiny". Byli ranni przeważnie w ręce i w nogi; taka grupa inwalidów ledwie zaleczonych, Żołnierze wysiedli z wagonu i zaczęli szykować kociołki do przyrządzenia kolacji. Im było wszystko jedno. Maszynista odjeżdżając powiedział, że za kilka godzin będzie jechała w stronę Kowla lokomotywa, Może zabierze kilka osób. Przeanalizowałyśmy naszą sytuację. Celowo zbliżyłyśmy się do wojskowych, a przecież w gruncie rzeczy nie mogłyśmy liczyć na żadną pomoc z ich strony. Zaczęłyśmy niby spacerkiem przybliżyć się do toru, na który miała wjechać lokomotywa. Grupa Ukraińców podążała za nami, skręciłyśmy w bok - oni za nami, ale w pewnej odległości. Teraz już na pewno wiedziałyśmy, że nie mają dobrych zamiarów wobec nas. Szeptali ciągle i nienawistnie na nas patrzyli.

Nadjechała lokomotywa (stara jak świat). Maszynistką była kobieta - Rosjanka. Powiedziałam Marysi, aby szła za mną, a ja tymczasem zapytam czy nas weźmie. Nie chciała nas zabrać, kobiety zawsze bardziej rygorystycznie podchodzą do swych obowiązków. Powiedziałam jej, że jesteśmy w zagrożeniu, nie możemy same zostać w lesie z tymi nacjonalistami, I ostatni argument, powiedziałam, że muszę dostać się do maleńkiego dziecka. Kazała wsiadać i to prędko, oceniła malejącą przestrzeń dzielącą nas od nich, a oni po prostu zataczali krąg wokół nas. To byłby krąg śmierci, gdyby lokomotywa odjechała. I teraz niestety Marysia nie chciała wdrapać się na lokomotywę - bała się, myślała że pęd powietrza nas zdmuchnie. Użyłam ostatecznego argumentu:

- Marysiu, ja muszę wracać do dziecka, nie mogę ryzykować. Na lokomotywie już jechałam, obejrzyj się za siebie. Ja jechać muszę, trudno zostawiam cię, nie mogą być solidarna z tobą.

Wdrapałam się. Marysia przezwyciężyła swój strach i obie usiadłyśmy na zbiorniku z wodą, nad którym była położona deska. Usiadłyśmy tyłem do jazdy, aby iskry i dym nie wlatywały nam do oczu. Wtedy zobaczyłyśmy jak stojący przy torach Ukraińcy wygrażają nam zaciśniętymi pięściami. Lokomotywa ruszyła, Odetchnęłyśmy z ulgą. Przed stacją w Kowlu wysadziła nas Sowietka i poradziła, aby nie kręcić się po peronie, bo bojcy mogą nas po prostu zgwałcić. Na dalszą część nocy przeniosłyśmy się do dyżurki kolejarzy. I z nimi spędziłyśmy czas na rozmowach. Byli to kolejarze z Lublina, wiele nam opowiadali o zdarzeniach na ich terenie.

Ostatnią podróż z Wołynia odbyłam 3 marca 1945 roku. Dostałam zawiadomienie, że mąż jest ranny. Po pobycie w polowym szpitaliku ma być odesłany do szpitala wojennego gdzieś w pobliżu Warszawy. Na kartce od Czesława dowiedziałam się, że wiadomości o sobie, będzie kierował do rodziny w Garwolinie. Ponieważ trwa już tzw. repatriacja, nie jest pewien, czy listy nadal wysyłać do Łucka.

Wyruszyłam znowu znanymi mi trasami. Tu znowu były kłopoty z dostaniem się do pociągu w Lublinie. Wszystkie pociągi załadowane były wojskowymi - Polakami i Rosjanami. Zakaz ostry zabierania do wagonów wojskowych cywili. Ale ja miałam pewne doświadczenie w sprawach „podróży”. Po dwóch dniach spędzonych na dworcu jednak dostałam się na peron. Spytałam, czy mogę zabrać się z nimi; siedzieli tam lekarze i dwie siostry medyczne oraz ordynansi - wszystko Rosjanie. Pozwolili. Wdrapując się do wagonu zostałam zapytana przez stojącego obok majora, czy chcę z nimi jechać - nie zrozumiałam pytania. Major wyszedł na dworzec. Usiadłam na swoim tobołku. Podszedł do mnie młody chłopak - ordynans i najczystszą polszczyzną poprosił, abym dla swego dobra wysiadła z pociągu zanim ów major nie powróci.

- Dlaczego?

- Proszę pani ja z nim jadę już długo; oni są zdolni zgwałcić panią w pociągu i wyrzucić na trasie. Niech mi pani wierzy, mówię, jak siostrze.

- Dlaczego pan nosi mundur rosyjskiego żołnierza?

- Ja pochodzę z Białorusi /obecnej/ i oni nie zezwolili mi na obywatelstwo polskie, wcielili do swojego wojska, ale ja jak będę mógł to ucieknę. Boję się narazić swoją rodziną więc jeszcze tu jestem.

Pożegnałam go serdecznie i zeskoczyłam z wagonu na drugą stronę. Widziałam, major wskakiwał do ruszającego już pociągu. Dzięki Bogu, zawsze jakoś trafiałam na dobrych ludzi. Następnie będąc już na peronie popróbowałam szczęścia w polskim pociągu. Kategoriecznie odmówili. Jechali wagonami osobowymi, lecz pozbawionymi zupełnie okien. Jednak oficer stojący w oknie zlitował się, zobaczył, że nie jestem handlarką, nie mam bagaży wyglądam bardzo dziecinnie (Już wspominałam, że mój dziecinny wygląd bardzo mylił ludzi, lecz mnie pomagał), więc chyba mam poważny powód, aby narażać się na takie trudy. Cicho mi powiedział, abym weszła do wagonu niepostrzeżenie z drugiej strony i przeszła do jego przedziału. Tak zrobiłam, lecz dziękując mu zbyt głośno mówiłam i mój głos posłyszaly kobiety - handlarki bezskutecznie napraszające się. Oficer zarządził „ruch w przedziale”, bo już kobiety doniosły patrolom, że jednak cywilna kobieta dostała się. Chłopcy wstali z ławek, zaczęli usilnie manipulować przy swoich plecakach, zatarasowali drzwi. Mnie kazano wsunąć się w kąt, zasłonili mnie płaszczem wojskowym- musiałam podkurczyć nogi.

Oficer nadal stał nieporuszony przy oknie. Faktycznie, przyszła kontrola. Nie znaleźli, wychodząc jeszcze nakrzyczeli na kobietę, że kłamie. Pociąg ruszył, teraz mogłam spokojnie podziękować. Zdradziłam powód podróży, zauważyłam zamyślenie pana oficera. Po chwili

powiedział, że on teraz jadąc na front, gdyby był ranny nie doczekałby się odwiedzin swojej żony.

- Moja żona jest za wygodna, nie zdobyłaby się na tyle trudu.

W Garwolinie dowiedziałam się, że Czesław jest w szpitalu w Otwocku. Dano mi adres jakiejś kuzynki, abym miała gdzie przenocować. Cały Otwock był zamieniony w szpital. Dawne budynki sanatoryjne i większe wille przeznaczone były na leczenie rannych, a więc szłam, od bloku do bloku i pytałam o męża. W jednym budynku siostra medyczna powiedziała, że jest takie nazwisko Dąbkowski, ale imię ma inne - Mieczysław. Tak więc najpierw odnalazłam brata, a dopiero później jego. Czesław w szpitalu był do ostatniego kwietnia, a potem jechał znowu na front.

Ja nie miałam powrotu na Wołyń, do swojej rodziny i dziecka, bo w tym czasie zrobili oficjalną granicę na Bugu i musiałam czekać na repatriację swoich. W międzyczasie zachorowałam na malarię. Leczyła mnie lekarka ze szpitala wojskowego. Byłam na połowie dawki chininy, gdyż obawiałam się, aby zwiększona dawka nie spowodowała poronienia - byłam w ciąży. Lekarka radziła usunąć, ja jednak postanowiłam zatrzymać tę ciążę jako ślubowanie za pomoc w trudach i prośbę do Boga o powrót moich braci i męża z wojny. Miałam nadzieję, że już niedługo znowu będziemy razem już tu, a nie na Wołyniu.

Do rodziny w Garwolinie dotarł list od Mamusi, że córeczkę Basie powierza teściowej, gdyż oni już wjeżdżają do Polski. Moi rodzice niestety muszą zostać, bo 10 kwietnia przyszło NKWD po mnie i po siostrę, ponieważ mnie już nie było, bo 2 marca wyjechałam do szpitala, do męża, zabrali siostrę. Oczywiście powodem do aresztowania była przynależność do AK i opór przed repatriacją. Wywieźli ją do więzienia w Równem, następnie do Kijowa, a potem do Norylska na dalekiej północy. Siostra wywieziona na miesiąc przed zakończeniem wojny powróciła dopiero po jedenastu latach, moi biedni rodzice mieli nadzieję, że doczekają się powrotu siostry z więzienia, że razem wyruszą w to nieznane, porzucając dom takim trudem i poświęceniem budowany. Niestety musieli sami ponosić trudy pakowania i wyjazdu. Moi dzielni, kochani rodzice. Nigdy nie pamiętam tego, aby się załamywali, zawsze starali się nas pocieszyć. Gdybym mogła teraz wyrazić im swoje wielkie uznanie, szacunek i wielkie uczucie... Nikt z nas, dzieci nie dorównał im.

Odprowadzałam męża na front. Po pobycie w szpitalu miał się stawić w swojej jednostce, czyli 3 Pułku Ułanów, stojącym obecnie gdzieś pod Berlinem.



Fot. XVI - Warszawa 1945 r. - Jadwiga i Czesław Dąbkowscy

Odprowadzałam go zdaje się gdzieś w pobliże obecnego dworca gdańskiego. A więc z Pragi trzeba było przedostać się mostem pontonowym albo przeładowanymi barkami.

Tłumy ludzi podążały do swojego miasta, do stolicy. To był pochód- krucjata. Co zastaną na tym drugim brzegu Wisły?

My przeszliśmy przez most pontonowy korzystając z dokumentów mojego męża, bo ruch tą drogą był zarezerwowany dla wojska. Zobaczyliśmy jakby zaorane pole, to była zaorana bombami stolica. A jeżeli gdzieś niegdzie coś wystawało wyżej, to zionęło pustką wypalonych wnętrz, czarnymi oczodołami okien. Mimo upływu czasu ciągle czuć było swąd spalenizny i trupi odór. Szliśmy częściowo odgruzowanymi ulicami, częściowo wydeptanymi ścieżkami po nasypach gruzu. To było przerażające. Na twarzach wszystkich powracających dostrzegało się łzy. Pożegnałam się z mężem na punkcie zborym dla żołnierzy udających się na zachód. Musiałam prędko udać się z powrotem na Pragę, aby gdzieś spędzić noc - dostałam adres ciotecznego brata męża, na ulicy Grochowskiej. Trafiłam tam przed nocą. Zajmowali jeden pokój bez kuchni, w którym gnieździło się sześć osób wraz z małym jednorocznym dzieckiem, adoptowanym z sierocińca (prawdopodobnie pochodzenia żydowskiego).

Jakaż była moja radość, gdy znowu spotkałam się z kuzynką męża, Marysią. Nie musiałam tłumaczyć kim jestem i dlaczego zjawiłam się o takiej porze w domu nieznanym mi krewnym męża, ponieważ Marysia uczyniła to za mnie i podzieliła się ze mną posłaniem na podłódze.

Po kilku dniach zdecydowałam się udać do Piask Lubelskich, gdzie po ucieczce z Włodzimierza Wołyńskiego zamieszkała moja ciocia. Jej mąż kolejarz został wywieziony w 1940 roku na Syberię w stanie skrajnego wyczerpania dostał się do szpitala przy Armii Andersa, ale już nie odzyskał zdrowia, zmarł.

Naprawdę nie pamiętam jak się dostałam znowu do Lublina. Na peronie, a raczej na peronach stało bardzo dużo pociągów, składających się wyłącznie z wagonów bydłowych, w których jechali tak zwani repatrianci, Żalony widok. Serce mi się ścisnęło na myśl, że moi rodzice też tak się męczą, Biegałam od wagonu do wagonu, z peronu na peron łudząc się, że może oni tu są, że może ich odnajdę, Całe miasto wypełnione było wypędzonymi. Ileż nieszczęścia, ileż tragedii, co jeszcze przed nami?

Wieczór - znowu czekała mnie noc spędzona przy dworcu, spędzona na oczekiwaniu okazji, aby dostać się do tymczasowej przystani, to jest do Piask Lubelskich. Nagle gruchnęło, strzały dookoła, niebo rozjarzyło się rakietami, z lękiem starałam się usłyszeć szum samolotów. Czy znowu przybliżył się front? Co się stało? A to wiwatowali żołnierze i polscy i ruscy - KONIEC WOJNY! O, Boże dzięki Ci. Ale nasza polska gehenna nie kończyła się. Znowu rozminęły się marzenia z rzeczywistością.

Wiwatowano do białego dnia. Rano zmęczona, niewyspana postanowiłam jednak wyjść na szosę i skorzystać z autostopu, bo na stacji było beznadziejnie. Przed dworcem, wśród tłumu spostrzegłam nagle znajomą postać. Nigdy nie spodziewałabym się jej tu spotkać. Dłuższy czas się jej przyglądałam, była to staruszka, zgarbiona, rozkojarzona, błędnym wzrokiem spoglądała dookoła, czasem pilnie szukająca czegoś na ziemi. Nie, nie myliłam się. To jednak była babcia moich koleżanek sąsiadek. To była teściowa pana Disterhoffa. Wróć do czasu, gdy ostatni raz widziałyśmy się w Łucku.

Pan Kornel Disterhoff był komisarzem Policji Śledczej w Łucku. Urząd ten miał pod baczną uwagę wszelką działalność komunistyczną. Prądy i emisariusze tej doktryny przenikały przez pobliską granicę z ZSRR i miały wielu zwolenników części ludności ukraińskiej tak na wsi

jak i w miastach Wołynia. Cały teren Wołynia był pokryty zorganizowaną siecią punktów kontaktowych. Z tych punktów rozlewała się propaganda o „raju”. Tęskniono do zmian. Zbyt wiele obietnic i podsyczeń do nienawiści maciło w głowach Ukraińców. Inna część ludności ukraińskiej hołdowała nacjonalistycznym trendom, niewielka liczba sprzyjała Polakom.

Tajniki politycznych wpływów poznawałam jako młoda dziewczyna wędrująca wraz z koleżanką Wandą Zyssówną po bezdrożach swego ukochanego Wołynia, podczas wakacji spędzanych na chutorze Zalesie-Krasnowola, koło Kotek. Dlaczego znalazłam się tam, sto kilometrów od Łucka? Na wsi Krasnowola był posterunek Policji Państwowej. Pracował tam mój wujek Bolesław Buczek i do niego byłam zaproszona na lato. Poznając piękno wołyńskiego Polesia, poznając ten lud spokojny, cichy, żyjący pierwotnymi zasadami, nieskażony cywilizacją oddałam duszę, na pewno zbyt egzaltowaną, tamtej krainie. Ciemniejszych stron i problemów starałam się unikać. Odkładałam to na swoje dorosłe lata. Żyłam tylko wrażeniami. A tych miałam mnóstwo. Wieczorami, aż do świtu płynęły prześliczne chóralne piosenki - dumki śpiewane przez młodzież spracowaną przy żniwach. Nikt ich nie uczył, po prostu mieli we krwi umiejętność chóralnego śpiewania. Ilu było uczestników grupy, tyle było głosów odmiennych, a jednak dobieranych na żywo bez fałszu, bez dysonansu. Upajające zapachy z łąk, pól i lasów, nie do opisanania i nie do zapomnienia.

Odkoczyłam za daleko do przeszłości. Muszę kończyć wątek o teściowej pana Disterhoffa. Ostatni raz widziałam się z tą rodziną na stacji kolejowej, chyba w październiku 1939 roku, kiedy to matka, babka i cztery córki (moje koleżanki), wyjeżdżały wraz z Komisją Niemiecką do Reichu. Odprowadzałam je, żyte byłyśmy bardzo, lecz gdyby nie postawa ich ojca, pana Kornela na pewno nie chciałabym podtrzymywać tej znajomości - wszak korzystając z protekcji Niemców i przyjmując ich obywatelstwo, dobrowolnie stawały po stronie wroga. Lecz pan Disterhoff był mocnym człowiekiem i mimo niemieckiego nazwiska (rodzina, z której pochodził zamieszkiwała od dziada pradziada w Wilnie), był najszczerzym patriotą, czego dal wyraz swoim postępowaniem. Teściowa o nazwisku Kleidienst pochodziła z rodziny niemieckiej, jej rodzina zamieszkała w Radomiu miała jakieś zakłady przemysłu skórzanego. Córki były wychowane w duchu polskim, a ponieważ taki był zwyczaj, że po matce dziedziczyły religię, były protestantkami. Cóż, takie są przypadki w rodzinach mieszanych. Gdy jest pokój nikomu to nie przeszkadza, lecz wojna manipuluje życiem osobistym w zależności od sytuacji. I właśnie tam na dworcu kolejowym w Łucku prowadziłyśmy ostatnie rozmowy oczywiście po polsku. Niemcy przechadzali się wzdłuż stojących z tobołkami, oczekujących na transport. Kilku z nich zbliżyło się w naszym kierunku i wtedy ta teściowa z sykiem nienawiści kazała mi zabierać się do domu a dziewczętom zabroniła rozmowy „w tym świńskim, polskim języku” tak się dosłownie wyraziła. Irka nie bacząc na to podbiegła do mnie i przeprosiła za babkę - „Ja będą zawsze Polką tak ojciec”. Odeszłam. I oto teraz ta Niemka, która szukała protektorów hitlerowskich, nagle znalazła się w takiej sytuacji: samotna, bezradna z dala od Reichu i z dala od Łucka. Jaki los zapędził ją tutaj? Przez chwilę wahałam się; przeważyła litość. Podeszłam do niej wzięłam za rękę:

- Czy pani mnie poznaje? Jestem Figa (tak mnie nazywano), jestem koleżanką pani wnuczek. Czy pani pamięta - jestem z Łucka. Niech mi pani powie, co się dzieje z dziewczynami. Bardzo długo przyglądała mi się, zorientowałam się, że strach nie pozwala jej mówić. Próbowwała zaprzeczyć, lecz ja nie ustępowałam. Jąkając się, i ciągle odwracając głowę wreszcie streściła losy swojej rodziny. Otóż matka dziewcząt wraz z nimi została natychmiast po przyjeździe skierowana do pracy w fabryce amunicji, gdzieś pod Berlinem. Ona została w domu, to znaczy jednym pokoju przydzielonym im przez władze miasteczka. Następnie najstarszą z nich, Judytę, moją rówieśnicę, po ukończeniu błyskawicznego kursu języka niemieckiego wysłano do obozu na Majdanek w charakterze „dolmescherki” czyli tłumacza. A więc była świadkiem niejednej tragedii. Brała udział w przesłuchiowaniach maltretowanych więźniów obozu. Jak się czuła? Czy zabito w niej wewnętrzną przynależność do naszego

narodu? Judyta zginęła podczas akcji - partyzanci starali się odbić przewożonych z zamku w Lublinie więźniów. Eskortę niemiecką wraz z tłumaczką zabito. Taki był jej koniec. Druga, Irka, którą najlepiej lubiłam, po przeszkoleniu została sanitariuszką w szpitalu wojskowym. Dwie następne siostry pracowały z matką w fabryce. Przeżyły wszystkie straszne naloty. Pod koniec działań wojennych, przy zdobywaniu Berlina, opuściły dotychczasowe miejsce pobytu i zaczęły przedostawać się na wschód mając nadzieję, że z powrotem uda im się dotrzeć do Łucka, do własnego domu, Nie przewidziały sytuacji. Po drodze zostały rozpoznane przez Polki pracujące w tej samej fabryce - i bliżej zaopiekowali się nimi jako Niemkami żołnierze rusczy. Wzięto je na jakiś posterunek, zgwałcono i obstrzyżono do ostatniego włosa. Następnie przekazano je na posterunek polskich wojskowych władz. W chwili, gdy spotkałam babkę pozostawały w więzieniu. Nie wiem jak daleko były szkodliwe dla niepodległości naszej ojczyzny, a jak daleko były ofiarami nieostygłych emocji. Nie miałam jak pomóc tej starej kobiecie. Sama byłam bez domu. Dałam jej dwie bułki, które otrzymałam od Marysi. Jak wielką biedę, krzywdę i upokorzenie przeszła ta kobieta - tak nie po ludzku, bez godności, chciała mnie całować po rękach... za kilka bułek... Oto wojna i jej skutki.

Pan Kornel Disterhoff swą godność okupił śmiercią. Wrócę jeszcze do dni przed wkroczeniem Czerwonej Armii na Wołyń w 1939 roku.

Podczas nasilających się bombardowań dla wytchnienia, chcąc choć kilka godzin przespać się, całymi rodzinami wychodziliśmy poza miasto do najbliższych zabudowań chłopskich (wtedy jeszcze nas nie mordowano, oczywiście pomijając napady na rozproszone oddziały wojskowe - zorganizowane przez bandy ukraińskie). Jedną noc spędziliśmy z państwem Disterhoff w olbrzymiej stodole pełnej słomy. To była spokojna noc - tylko szelest goniących się myszy niektórych budził. Było nas tam ze dwadzieścia osób.

W pewnej chwili jeszcze ciemną nocą skrzypnęły wrota stodoły i ktoś latarką zaczął świecić po twarzach śpiących.

- Czy jest tu rodzina Disterhoffów?

Oczywiście nasi sąsiedzi obudzili się, nie poznali po głosie, kto ich poszukuje i z nieufnością zapytali; O co chodzi?

- Tu wasz kuzyn Kleidienst z Radomia, proszę was wyjdźcie na dwór, rozmowa nie cierpi zwłoki.

Irka - jedna z córek - wyszła razem z rodzicami. Po pewnym czasie w wielkiej tajemnicy powiedziała mi, że wujek z Radomia przyleciał jakąś awionetką z terenów już zajętych przez Niemców, przyleciał po ojca, aby go wywieźć za Bug, bo tu już za dwa dni wkroczy armia sowiecka. Ze względu na pracę antykomunistyczną pana Disterhoffa, będzie on uwięziony w pierwszej kolejności. Muszą wylecieć awionetką pod osłoną nocy.

Rodzina Disterhoffów zaczęła pakować swoje manatki i nam również po cichu radziła natychmiastowy powrót do domu. Irka powiedziała, że wujek zapewnił, że już od dziś Niemcy zaprzestaną bombardowań, gdyż nastąpiło porozumienie między Stalinem i Hitlerem. Nastąpi uzgodniony podział Polski, Znowu sprawa Polski jest przegrana.

Dotarliśmy do swoich domów. Faktycznie panowała cisza, mogliśmy spokojnie zjeść śniadanie - w naszym domu zakwaterowani byli lekarze zmobilizowani do służby frontowej. Było ich sześciu. Nieopodal naszego domu w wybudowanym przed wojną Gimnazjum Krawieckim teraz mieścił się szpital wojskowy, wypełniony rannymi - ofiarami ostatnich bombardowań.

Oczywiście nie omieszkaliśmy przekazać im tej tajemnicy. Tak, to już koniec - trzeba jak najszybciej wyruszać do swoich, na zachód, albo przedostawać się do Rumunii i dalej... Ale jednak nie mogli opuścić do ostatniej chwili rannych, tylko prosili nas, abyśmy

zaopatrzyli ich w stare ubrania cywilne pomagające im w ucieczce od „wyzwolicielei”. Ubrania Tatusia i brata, który był na froncie poszły na ten cel, a poza tym skontaktowaliśmy się z koleżankami z naszej drużyny harcerskiej, biorącej udział w służbie Cywilnej Obrony Kraju, i zaczęła się zbiórka. Jakież było moje zdziwienie, gdy około godziny dziewiątej zobaczyłam przechodzącego przez druciane ogrodzenie na lotnisko pana Disterhoffa wraz z czterema córkami. Cała ta gromadka zatrzymała się przy naszych biednych, nieszczęsnych, poszarpanych samolotach myśliwskich, które sterczały kikutami połamanymi skrzydeł. Było ich 22. Oczywiście pobiegłam do nich. Pan Disterhoff wyciął żyłką białą-czerwoną szachownicę z jednego skrzydła. Pociął ją na cztery długie paski i wręczył je każdej z córek mówiąc: - Przechowujcie to przez całą wojnę. Długo nie będziemy mogli mieć jawnie swojej białą-czerwonej flagi. Nadchodzi dla Polski bardzo ciężkie czasy. Pamiętajcie, że jesteście Polkami!

Ciarki wzruszenia przebiegły po plecach. Zawrócili smutni do domu. Irka odłączając od nich powiedziała, że ojciec postanowił nie uciekać do Niemców, że dla niego, tak samo jak Sowieci, Niemcy też są wrogami. I że on walcząc w legionach nigdy nie sprzeniewierzył się ojczyźnie. Podobno płaczącej żonie, zatroskanej o los jego i całej rodziny tłumaczył, że honor nie pozwala mu, aby przez 19 lat jedząc polski chleb teraz w potrzebie miał opuszczać Ojczyznę. Nigdy nie przypuszczaliśmy, że pan Kornel Disterhoff jest Człowiekiem i Patriotą tej miary. Rano, zaraz po wkroczeniu został aresztowany, Zginął bez śladu.

Koniec